POLSKA WALCZĄCA

ŻOŁNIERZ POLSKI NA OBCZYŹNIE

FIGHTING POLAND — WEEKLY FOR THE POLISH FORCES — PRICE THREEPENCE

Wychodzi co tydzień | ***Dnia 27-go października 1945r.*** | **Rok VII. Nr. 42**

POROZUMIENIE CZY ZAGŁADA

Wstrząs wywołany bombą atomową był olbrzymi — nie tylko wstrząs fizyczny, który zmiótł olbrzymie połacie dwu miast japońskich, ale i ten wstrząs, jaki przeszedł przez opinię publiczną wolnych krajów świata. Społeczeństwa zrozumiały, że stało się coś, co będzie miało wielki wpływ na stosunki w świecie, że stało się coś, co burzy wiele dawnych pojęć. Narody odczuły to — chociaż niezawsze jasno potrafiły sformułować i ująć swoje wrażenia.

Jest wielką, niepowetowaną szkodą, że moment ten nie został wykorzystany przez kierowników państw. Jeden z polityków brytyjskich w dyskusji przeprowadzonej w pewnym klubie londyńskim na temat wpływu bomby atomowej na stosunki międzynarodowe, powiedział słusznie, że gdyby mężowie stanu demokracyj zachodnich postarali się wykorzystać tę chwilę — *"mogliby zasadniczo pozwolić sobie na wszystko"*. Wydaje się, że istotnie, gdyby n.p. premier W. Brytanii, Prezydent USA, premierowie Francji, Holandii, Belgii, ogłosili zaraz potem porozumienie się ich państw czy unię celną i zrzeczenie się suwerenności przez te państwa na rzecz "wspólnego mianownika", wspólnotę obywatelstwa i t.d. — wniosek taki zostałby przyjęty przez społeczeństwa.

Niestety ludzkość jest typowym starym grzesznikiem, który czyni obietnice w dobie niebezpieczeństwa i zagrożenia, a zatem w czasie wojny — po to, ażeby, tych obietnic uroczyście potem nie dotrzymać. I dlatego wszelkie piękne obietnice doby wojny są dzisiaj bardzo szybko przekreślane, usuwane na bok. Taki los spotkał n.p. piękny gest Churchilla zrobiony pod adresem Francji w czasie — upadku Francji. Gest ten mówił o powiązaniu się dwu Imperiów, o wspólnym obywatelstwie — ale nie został powtórzony. Podzielił los wielu pięknych gestów dokonanych w obliczu niebezpieczeństwa — gestów, które zostały odwołane, gdy tylko chwila grozy minęła.

Społeczeństwa odczuły słusznie, że bomba atomowa jest rewolucyjną bronią. Jest to bowiem broń, która dokonuje rzeczy niepojętej: wyzwala siłę zawartą w atomie przez jego rozbicie. Dla przeciętnego człowieka, który nie zajmuje się zagadnieniami nowoczesnej fizyki i chemii, który wytwarza sobie obraz świata z własnej obserwacji, są pewniki, są całości, które stanowią jakby ostoję jego świata. Od lat dla człowieka atom był takim ostatecznym, niedającym się rozbić pierwiastkiem. Dzisiaj rozpada się ten czynnik, ta ostatnia jakby ostoja jedności. Wyzwolenie siły przez rozpadnięcie się atomu urasta dla przeciętnego człowieka do rozmiarów katastrofy kosmicznej. I człowiek przeciętny nie jest daleko od prawdy.

Przemiany, jakie wprowadza odkrycie anglosaskie /dokonane przy olbrzymiej współpracy uczonych z kontynentu, w tym głównie Żydów wygnanych przez Hitlera/, są istotnie rewolucyjne. Nie wiemy jeszcze jakie przemiany zajdą w siłach zbrojnych świata. W pierwszej chwili byli teoretycy, którzy twierdzili, że cała flota wojenna może śmiało pójść na t.zw. szmelc, że wojsko lądowe traci rację bytu, że lotnictwo jest również w dużej mierze przestarzałe.

Wnioski takie są zbyt daleko posunięte. Zapewne rola floty wojennej będzie musiała być podporządkowana nowym wynalazkom i broniom /była ona zależna od lotnictwa w tej wojnie i nie była bronią samodzielną/, wojsko lądowe będzie musiało być przeorganizowane i dalej posunięte na drodze specjalizacji, lotnictwo będzie odgrywało może jeszcze większą rolę. W każdym razie szala przechylona została jeszcze bardziej na rzecz sił "przestrzennych", na rzecz szybkości; napastnik, który wyjdzie pierwszy z atakiem ma wielkie szanse, jeszcze większe, aniżeli w tej wojnie. Przestrzeń odgrywać będzie dalej a raczej jeszcze bardziej rolę "pochłaniacza szoku" czy "wstrząsu" */shock absorber/*.

Teoretycznie każde państwo będzie mogło wytworzyć bombę atomową, ale praktycznie rzecz przedstawia się tak, że *USA wydały 2 miliardy dolarów na produkcję bomby*. Jest to zatem pięć razy więcej, aniżeli cały przedwojenny budżet państwa polskiego. Nawet gdyby potrafiono obniżyć koszta produkcji, nawet gdyby zamiast cennej i rzadkiej "pechblendy" /znajduje się ona w Kanadzie, a częściowo w Czechosłowacji/ potrafiono użyć innych surowców — to i tak tylko największe mocarstwa będą sobie mogłby pozwolić na tę rujnującą broń. Nic nie zmieni też faktu, że mały obszar jest właściwie bezbronny wobec bomby atomowej.

Oczywiście, w miarę czasu postawi się na nogi rozmaite sposoby obrony przeciwko bombie atomowej. Będą lepsze pościgowce, będą niezwykle szybkie maszyny myśliwskie, które będą się starały sparaliżować działanie bombowców niosących bomby atomowe. Będą próby tworzenia "pól magnetycznych" czy "radiowych", celem spowodowania wybuchu bomby atomowej czy "rakiety atomowej" w powietrzu. Wszystko to niewątpliwie zostanie stworzone, albowiem jest to stara prawda, że atak wywołuje sposoby obrony, że na wszystkie nowe bronie ludzkość znajdowała sposoby i odpowiedzi. I tak na czołgi znaleziono działka przeciwpancerne, na bombowce — radiolokację, myśliwce /dzienne i nocne/ i t.d. Ale chociażby znaleziono nie wiadomo jakie sposoby obrony, faktem pozostanie znowu, że będą to sposoby niezmiernie kosztowne i że zatem tylko największe mocarstwa będą mogły sobie na takie sposoby pozwolić.

Bomba atomowa i cały rozwój nowoczesnej broni uczy nas, że mały obszar a nawet średnie państwo jest coraz to bardziej bezbronne i że tylko największe mocarstwa mogą sobie pozwolić na zbrojenia. *Ale nawet dla tych największych zbrojenia są zbyt kosztowne.* Nawet dla nich wyścig zbrojeń stanie się w miarę czasu czymś rujnującym. I dlatego nawet największe mocarstwa muszą dążyć do ograniczenia zbrojeń na podstawie jakich takich umów, ale do tego oczywiście potrzebne jest zaufanie, które nie chce jakoś na naszą ziemię zawitać.

Bomba atomowa, która stanowi na razie ostatnie słowo w rozwoju broni nowoczesnej podkreśla prawdę oczywistą już na wstępie tej wojny — chociaż niezrozumianą przez kierowników państw i przez same narody — iż zagadnienie granic przedstawia się dzisiaj inaczej, aniżeli na wstępie naszego stulecia. Wprawdzie nic nie zmieniło się w fakcie zamieszkania danego terenu przez takie czy inne "rasy" czy narodowości, ale możność obrony takiej czy innej granicy jest dzisiaj całkowicie inna.

Dawniej państwa starały się uzyskać t.zw. granice obronne: były to rzeki, góry, mokradła, bagna. Stąd pojęcie granicy strategicznej, a więc takiej, która daje szanse obrony, przed atakiem. Ale jakie granice są dzisiaj granicami strategicznymi? Nawet Alpy nie stanowią zasadniczo przeszkody dla wojsk spadochronowych. Rzeki przestały się niemal liczyć; nawet umocnienia najbardziej potężne nie istniały w tej wojnie. Granice zatem w dawnym pojęciu są nie do utrzymania, a raczej: przestały one znaczyć tyle co dawniej.

To jedna wielka prawda, która wynika z ujawnienia się bomby atomowej. Druga prawda brzmi: Skoro wszystkie państwa nie mogą się same bronić, winien istnieć jakiś wyższy autorytet, ażeby uzyskać od niego zabezpieczenie swojego życia.

Chaos i nędza jakie dzisiaj panują w Europie uprzytomniły wszystkim ludziom myślącym prawdę, że trzeba powołać jakąś "centralę rozdziału", jeżeli chcemy kontynent postawić na nogi. Ten czy inny kraj może głosić, że dokona wszystkiego sam, że zabierze się do roboty "gołymi rękoma". Są to hasła, które nie mogą znaleźć pokrycia w rzeczywistości. Albowiem *żadne ze zrujnowanych państw nie potrafi się dzisiaj samo odbudować.* Włochy stają szybko na nogach, albowiem wpływa do tego kraju stale struga obcej pomocy. Podobnie dźwignie się Francja. Czechosłowacja postępować będzie szybciej, niż n.p. Polska, albowiem zachowała się o wiele lepiej pod względem siły ludzkiej i pogotowia przemysłowego, albowiem ma niezniszczone linie transportu i coraz większą pomoc zagranicy.

Polska bez pomocy zagranicy nie odbuduje się. Może stworzyć warunki wegetacji, ale nie posunie poziomu życia ani trochę w górę. Jeżeli będzie próbowała dokonywać odbudowy sama, to wynik będzie taki, że na zachód od Łaby "bulldozery" brytyjskie i obrabiarki amerykańskie postawią szybciej na nogi okupowaną Rzeszę, aniżeli ręce polskie bez maszyn, bez narzędzi zdołają jako tako uprzątnąć sam gruz w Warszawie.

A zatem jest rzeczą jasną, że tylko wzajemna pomoc całej Europy i pomoc USA dla Europy może dać wyniki, że tylko wspólny wysiłek całego obszaru kontynentu może powołać do życia transport, rozdział żywności, że tylko przez zaprzęgnięcie portów Europy do wspólnego dzieła /a nie przez przydzielanie n.p. Triestu Jugosławii, która jest biedna, nie ma przemysłu i nie przedstawia żadnej siły gospodarczej/, możemy wybrnąć — i to po latach — z klęski nędzy, głodu i upadku.

To są wszystko prawdy, które wynikają zarówno z bomby atomowej, jak i sytuacji zastanej po wojnie w Europie. Są to prawdy nieprzyjemne dla wielu. Przekreślają one bowiem w dużej mierze prawdy i hasła dotychczas stosowane. Ale niemniej pozostaje faktem, że albo nauczymy się — i to szybko — nowego elementarza pożycia na świecie, albo czeka nas przedłużenie nieporozumień, niesnasek — do katastrofy włącznie.

Świat dzisiaj dojrzał do rozwiązania zarówno rządów i administracji jak rozdziału dóbr na największą skalę. Europa, jeżeli ma stanowić siłę, jeżeli ma być obszarem jakiej takiej pomyślności — musi się zjednoczyć. Inaczej będzie ona wiodła życie poddziału, doczepki do wielkich mocarstw. Inaczej będzie poligonem dla wielkich mocarstw, terenem rozgrywek wojennych, rejonem łowieckim "wielorybów". I to jest oczywista prawda, to jest ta pierwsza, naczelna prawda dla wszystkich narodów Europy.

Człowiek wyposażony został w rozum, który m.in. ma za zadanie rozróżnianie rzeczy ważnych od nieważnych — czyli stworzenie tego, co nazywa się hierarchią wartości. Jeżeli dana gromada ludzka nie uznaje tej hierarchii, jeżeli nie potrafi zrozumieć w pewnej chwili co jest najważniejsze a co dopiero drugorzędnej wartości — gromada taka płaci za to w sposób okrutny. Narody Europy zapłaciły już raz za to, że nie chciały na czas zrozumieć, iż należy rozbić Niemcy zaraz u wstępu powstania hitleryzmu. Spieraliśmy się o takie czy inne drobiazgi nie widząc, że przyjdzie burza, która nas złamie, powali.

Dzisiaj zagadnienia rozrosły się na o wiele większą skalę. Dzisiaj chodzi już nie tylko o porozumienie dwu sąsiadów, ale o rzeczy szersze. Jeżeli jednak postaramy się zrozumieć naczelną groźną prawdę, że jeżeli Europa nie porozumie się, to po prostu przestanie się liczyć, to nie dojdzie do żadnego poziomu życia — to będziemy się mogli dogadać. Świat ma dzisiaj do wyboru porozumienie albo postęp na drodze zagłady. I to jest naczelna, groźna prawda dla wszystkich ludzi myślących.

Dlatego myślący ludzie winni zespolić swoje wysiłki, ażeby narody ich postarały się dojrzeć tę prawdę, ażeby cała energia ludzka poszła w kierunku porozumienia, pomocy wzajemnej, rozsądku. Jeżeli damy folgę uczuciom niechęci, uprzedzenia, taniej demagogii — dopomożemy zagładzie, która czyha na nas.

ZBIGNIEW GRABOWSKI

JASKINIA CYKLOPA

W marcu 1938 r., po najeździe niemieckim na Austrię, zamiast artykułu o tym tygodnik "Zwrot" przytoczył urywek z "Odyssei" o jaskini Cyklopa. Nie mam pod ręką wspaniałego przekładu "Odyssei" przez Lucjana Siemieńskiego i nie mogę przytoczyć tego urywku w dosłownym brzmieniu. Ale przypominam treść.

W ciągu swych wędrówek po morzach Odysseus razem z garścią towarzyszy znalazł się jako rozbitek na wyspie skalistej i nieopatrznie schronił się do jaskini, gdzie było mleko i sery: gospodarstwo jednookiego potwora Cyklopa. Cyklop Polifem wrócił ze stadem do jaskini, zastał gości; dwóch złapał i zjadł na kolację. Rano wypędzając stado, zawalił głazem wyjście i zostawił Odysseusa w medytacjach nad losem oczekującym jego i towarzyszy i nad sposobem wydobycia się z opresji. Wieczór powtórzyła się ta sama historia. "Znowu bierze dwóch naszych i przyrządza sobie z nich wieczerzę". A gdy już się posilił, przebiegły Odysseus wystąpił do niego z darem: z ocalałym z rozbicia skórzanym worem wina. "Pij, Cyklopie, po ludzkim mięsie wino służy". Cyklop wypił z uznaniem i zapytał gościa o imię, by go nagrodzić; Odysseus wolał zachować incognito i podał jako nazwisko "Nikt". Na to rzekł Cyklop: "A więc słuchaj bratku — Nikt zjedzon będzie, ale zjem go na ostatku, a tych tam pierwej pożrę — ot masz podarunek!"

Na tym kończył się zgodnie z ówczesną sytuacją międzynarodową, urywek w "Zwrocie".

Jaki był ciąg dalszy historii? Potwór, nażarty i spity, usnął. Odysseus zwołał towarzyszy. Kół wyostrzony rozpalili w ognisku i ugodzili nim w jedyne oko Cyklopa. Jak zdołali ujść jego zemsty i wydobyć się z jaskini, to już inna sprawa.

Historia z Cyklopem, tak pięknie rozpoczęta przed siedmiu czy ośmiu laty, zakończyła się świeżo. Brytyjski Oddysseus, który w roku 1939 skrzyknął towarzyszy i zaczął kół ostrzyć i rozpalać, nie odrazu, jak wiemy, dał potworowi rady i trzeba było ciężkich lat sześciu, by ten olbrzym legł bezwładny. A sprawa nie straciła przez to jeszcze swej aktualności.

Od wieków było obyczajem polityki brytyjskiej, że na takie praktyki ludożercze jakiegoś olbrzyma, uprawiane na współmieszkańcach Europy, reagowała wrogo. Tak było po kolei z Filipem II, z Ludwikiem XIV, z Napoleonem, z Mikołajem I, z Wilhelmem II, z Hitlerem.

Odysseus brytyjski bywał może od greckiego bohatera ostrożniejszy, a zarazem mniej przebiegły i mniej prędki w działaniu. Gdy dostrzegał, że taki Cyklop pożera któregoś z sąsiadów, miewał czasem wątpliwości, czy to nie było konieczne, czy się na tym nie skończy, czy apetyt Cyklopa nie zaspokoi się teraz całkowicie, czy sprawa ta w ogóle tyczy się jego — Odysseusa. Ale gdy rzecz się zbyt powtarzała, dochodził do przekonania, że postępowanie Cyklopa jest niewłaściwe, starał się go odwieść od podobnych praktyk. Gdy to zaś nie skutkowało, dość nagle dochodził nieraz do wniosku, że nie warto czekać na to, by być zjedzonym na ostatku; zazwyczaj zaczynał rozglądać się za partnerami, za ostrym, rozpalonym kołem. Niekiedy bywał przez dłuższy czas osamotniony. Trwał z zaciętym uporem, chroniony przez swą pozycję wyspiarską i potęgę morską. Ale wcześniej czy później skupiał przy sobie koalicję.

Tak bywało z Odysseusem.

Po stronie Cyklopa sprawa miewała się zgodnie z naturą tego tworu. Cyklop ma tylko jedno oko, widzi więc tylko to co ma przed sobą, widzi wyłącznie łup. Najedzony mięsem ludzkim, staje się ciężki, niezgrabny; pijany winem powodzenia wyzywa przeciw sobie świat, a wreszcie, oślepiony, miota się w bezładnych odruchach. Jak w poemacie Homera twór ten bywa groźny do ostatka.

Dwukrotnie już Europa, zamieniona w jaskinię Polifema, ocalała dzięki zewnętrznej, amerykańskiej pomocy, gdy nie mogli rady dać Cyklopowi Odysseus i jego towarzysze o własnych siłach. Tego nie było w Homerze. To jest w dzisiejszej rzeczywistości.

Od tego, czy na zagrożenie narodów Europy — i nie tylko Europy — zareagują zgodnie te dwa narody, brytyjski, przez swe położenie mniej bezpośrednio zagrożony a wśród zagrożonych najsilniejszy i amerykański, dziś najpotężniejszy w świecie i świadomy swej odpowiedzialności za losy świata, od solidarności, czujności, energii tych dwu narodów — zależy wszystko.

Inaczej nie Europa już tylko, ale świat stanie się jaskinią Cyklopa.

TRIARIUS

Przegląd tygodniowy

NOWA OKUPACJA

Tragiczne wydarzenia ostatniego tygodnia w Europie wschodniej — nowa okupacja Polski przez Armię Czerwoną i przekreślenie wszelkich szans wolnych wyborów na Węgrzech — potwierdzają przypuszczenia, że Rosja zdecydowała się na jeszcze większe, niż dotąd odcięcie swej strefy od reszty Europy i że postanowiła zlikwidować w niej wszelką opozycję. Coraz bardziej przestaje przy tym dbać o pozory, czy o przyjęte zobowiązania.

Nowa okupacja Polski, wprowadzenie do każdego miasta wojewódzkiego generała rosyjskiego, który będzie faktycznie sprawował rządy i specjalnych oddziałów wojska — wszystko to za zgodą Bieruta, Osóbki i towarzyszy — dokonane zostało pod pretekstem walki z bandytyzmem. Oczywiście argument ten nie przekona nikogo, gdyż powszechnie wiadomo, że głównym elementem przestępczym, który powoduje katastrofalny brak bezpieczeństwa w kraju, są właśnie żołnierze rosyjscy. Jakże więc wyobrazić sobie, że przez zwiększenie ich liczby, zwiększy się bezpieczeństwo?

Jaki jest istotny powód tego posunięcia rosyjskiego? Z jednej strony nie można wykluczyć, że chodzi tu o fragment ogólnego przegrupowania wojsk sowieckich. W świecie toczy się dziś osobliwa "wojna nerwów" i w jej ramach różne dokonywują się manewry. Wiadomo, że Rosjanie zgromadzili olbrzymie ilości wojska w Austrii — niektórzy mówią o milionie ludzi — choć potrzeby potemu z pewnością nie ma żadnej. Na Węgrzech ma być — według *"Observera"* — 1,200,000 ludzi. W korespondencji w *"Daily Mail"* dowiedzieliśmy się też przed paru dniami, że na sowiecko-amerykańską linię demarkacyjną w Korei przybywają olbrzymie ilości sowieckich czołgów, ciężkiej artylerii i t.d., podczas gdy w Tokio oficerowie amerykańscy "żartobliwie" mówią, że Japonia to "baza wyjściowa dla następnej wielkiej operacji". Być może więc, że nasz kraj padł ofiarą tej wojny nerwów.

Bardziej prawdopodobne są jednak inne powody. Wydaje się, że chodzi o steroryzowanie kraju. Chodzi także o nową akcję przeciw ukrywającym się w lasach żołnierzom Armii Krajowej.

Krążą pogłoski, że może nawet być podjęta próba sprowokowania powstania, aby tym łatwiej zlikwidować niebezpieczne dla reżymu, najbardziej przedsiębiorcze elementy. Należy jednak spodziewać się, że prowokacja ta nie uda się. Powstanie potrzebne jest tylko wrogom Polski!

ZŁAMANE ZOBOWIĄZANIA

Nowa okupacja Polski wydłuża i tak już długą listę złamanych zobowiązań rosyjskich. Poprzednio już w gruzach legły zobowiązania krymskie. Teraz dochodzi deklaracja moskiewska z 1943 roku, której art. 6 głosił, że "po zakończeniu działań wojennych mocarstwa nie będą używały swych sił zbrojnych w obrębie granic innych państw". Wszelkie wyjątki wymagają uprzedniej konsultacji wielkich mocarstw, a takiej konsultacji nie było. Deklaracja moskiewska została więc ostatecznie złamana. Tak samo złamana została obietnica dana przez marsz. Stalina p. Bevinowi w Poczdamie, kiedy to obiecał on, że wojska sowieckie będą z Polski wycofane za wyjątkiem niewielkich sił potrzebnych do pilnowania linii komunikacyjnych.

P. Mołotow wprawdzie tłumaczył w Londynie, że Sowiety skrupulatnie respektują podpisane zobowiązania, ale rzeczywistość europejska mówi zupełnie coś innego. Lista złamanych zobowiązań od paktu nieagresji z Polską, naruszonego 17 września 1939 począwszy, a na Poczdamie skończywszy, staje się bardzo długa.

DRAMAT WĘGIER

Z wypadkami w Polsce w sposób znamienny zbiegły się wydarzenia na Węgrzech, gdzie również pod pretekstem walki z "bandytyzmem" wprowadzono stan oblężenia i sądy wojenne, a następnie marsz. Woroszyłow wprost interweniował na rzecz wystawienia przez wszystkie stronnictwa jednej listy i z góry zadekretował, ile mandatów mają różne partie uzyskać w "wyborach".

Wszystko to jest wynikiem klęski komunistów i ich sprzymierzeńców w wyborach do rady miejskiej w Budapeszcie. Przed tygodniem stwierdziliśmy, że jest tajemnicą dlaczego właśnie na Węgrzech Rosjanie zezwolili na naprawdę wolne wybory. Teraz wydaje się, że stało się to przez pomyłkę. Po prostu widocznie władze sowieckie były pewne, że koalicja socjalistyczno-komunistyczna wygra "w cuglach". Gdy rachuby okazały się mylne, swobody wyborcze czym prędzej zawieszono.

Tak więc na Węgrzech, podobnie, jak w Jugosławii czy w Bułgarii żadnych nawet pozorów wolnych wyborów nie będzie. W Bułgarii, tak jak poprzednio w Jugosławii, opozycja zbojkotowała wybory, które będą tylko komedią. Na Węgrzech opozycji zapewne nie będzie wolno ich nawet bojkotować . . .

W Polsce w ogóle o wyborach nie ma mowy. Bierut zapowiedział, że odbędą się po powrocie wszystkich Polaków z zagranicy. Tym samym jasno dał do zrozumienia, że jest to kwestia bardzo dalekiej przyszłości. Ponieważ zaś rząd Osóbki uroczyście obiecał p. Bevinowi, że wybory odbędą się najpóźniej na początku przyszłego roku, więc wygląda na to, że jeszcze jedno zobowiązanie będzie niedotrzymane.

ZERWANE KONTAKTY

Obok wydarzeń w Polsce i na Węgrzech inne jeszcze wypadki ostatnich dni świadczą, że polityka sowiecka coraz konsekwentniej dąży do odcięcia Sowietów i krajów przez nie okupowanych od reszty Europy.

Oto Rosja systematycznie likwiduje swoje kontakty z sojusznikami zachodnimi. Jej udział w konferencjach międzynarodowych staje się coraz bardziej nieznaczący. Odmówiła już udziału w konferencji dla spraw wychowania, która rozpocznie się niebawem w Londynie. Na konferencję Organizacji Żywnościowej i Aprowizacyjnej Zj. Narodów w Quebec przybyła wprawdzie delegacja sowiecka, ale okazało się, że nie ma . . . pełnomocnictw dla czynnego występowania. W organie przygotowawczym Organizacji Zjednoczonych Narodów delegacja rosyjska ciągle wywołuje wszelakie trudności. Do tej pory nie ma też zgody rosyjskiej na udział w komisji doradczej dla spraw Dalekiego Wschodu, której pierwsza sesja została właśnie odroczona na tydzień zapewne z tego powodu.

W Niemczech i w Austrii polityka sowiecka izolowania swojej strefy okupacyjnej przybiera groteskowe, ale w skutkach katastrofalne rozmiary. Sztuczne przegrody grożą Austrii zwłaszcza zupełną ruiną.

Rzeczy zaszły tak daleko, że Rosjanie odwołali nawet mecz piłki nożnej z reprezentacją brytyjską w Berlinie, pod pretekstem że nie mogą zestawić drużyny na skutek . . . demobilizacji.

Z Berlina, z Wiednia, z Dalekiego Wschodu — jednym słowem zewsząd gdzie wojska rosyjskie stykają się z Rosjanami nadchodzą jednakowe wiadomości: nie ma żadnego kontaktu towarzyskiego między nimi a Amerykanami czy Brytyjczykami. Stosunki cechuje nieufność i wzajemna niechęć, jeżeli nie co gorszego.

Dodajmy do tego gwałtowną propagandę anty-brytyjską i w ogóle anty-zachodnią, która stale przybiera na sile zwłaszcza w Polsce, a obraz będzie pełny.

"EUROPIE POKAZANO ROSJAN" . . .

Nasuwa się pytanie, co to wszystko znaczy. Do czego właściwie zmierza polityka rosyjska? Dlaczego tak się odcina od świata?

Przecież Rosja miałaby tyle do zyskania na polityce szczerej, uczciwej współpracy z demokracjami; mogłaby uzyskać pomoc gospodarczą dla swej odbudowy; pokój byłby zapewniony na długi okres czasu, zapewne nawet podzielonoby się z nią tajemnicą bomby atomowej. Dlaczegoż tego wszystkiego się wyrzeka?

Otóż wydaje się, że Rosja obawia się ujemnych skutków współpracy z zachodem nie tylko dla swej pozycji w krajach Europy wschodniej, lecz wprost dla ustroju sowieckiego.

W Europie środkowo-wschodniej mówi się pół żartem, pół serio, że Stalin popełnił dwa wielkie błędy: pokazał Rosjanom Europę i pokazał Europie Rosjan. To "powiedzonko" oddaje sytuację.

Skutki pokazania Europie Rosjan już się w pełni ujawniają. Póki narody Europy znały Czerwoną Armię tylko z jej zwycięstw nad daleką Wołgą czy Dnieprem, prestiż jej był wielki. Ale bliższe zetknięcie się z nią szybko odwróciło nastroje. Dotyczy to nie tylko narodów Europy środkowo-wschodniej, gdzie gwałty i grabieże wywołują gwałtowną reakcję. Podobnie ma się rzecz nawet ze społeczeństwami zachodnimi. N.p. we Francji opowiadania setek tysięcy b. jeńców i deportowanych, których Rosjanie "oswobodzili" m.in. z zegarków, zaważyły nawet — jak donosi prasa brytyjska — na wynikach wyborów. To samo zjawisko sygnalizowane jest z Włoch i z innych krajów.

Również żołnierze brytyjscy i amerykańscy, którzy byli pełni podziwu dla wyczynów żołnierzy rostycznych i rozwianie się nadziei ropo zetknięciu się z nimi i obserwowaniu ich wyczynów pokojowych. Korespondent *"Observera"* donosi, że "dla przeciętnego żołnierza brytyjskiego żołnierz Armii Czerwonej — często nieokrzesany, nieogolony i źle umundurowany wydaje się niemal okrutnym złoczyńcą z obrazków ilustrujących książki dziecinne".

Skutkiem "pokazania Europie Rosjan" jest upadek wpływów komunistycznych i rozwianie się nadziei rosyjskich na pozyskanie sobie narodów okupowanych krajów.

. . . A ROSJANOM EUROPĘ

Niemniej poważne są skutki "pokazania Rosjanom Europy". Przez dwadzieścia lat wmawiano im, że w innych krajach chłop i robotnik jest uciemiężony i żyje w nędzy, eksploatowany przez "landlordów" i krwiopijców kapitalistycznych. Teraz zobaczyli jak to wygląda naprawdę i z zazdrością oglądali o tyle wyższy poziom życia tych krajów. Nic dziwnego, że masowo dezerterują i nie chcą wracać do kraju, gdzie czeka ich brak wolności osobistej, niewolnicze przywiązanie do fabryki czy kołchozu, brak najniezbędniejszych artykułów i t.d.

Widząc te różne objawy kierownictwo sowieckie doszło widocznie do wniosku, że dalszy kontakt z Zachodem może mieć fatalne skutki dla stałości reżymu. Współpraca międzynarodowa dałaby wiele korzyści, ale trzeba byłoby za nią zapłacić podniesieniem "żelaznej kurtyny", to zaś uważane jest za zbyt niebezpieczne. Raczej więc należy — rozumują czynniki decydujące w Moskwie — zrezygnować z kredytów i współpracy, zamknąć się w skorupie odosobnienia, zlikwidować terrorem wszelką opozycję, obniżyć poziom życia w krajach okupowanych, by mniej kłuł w oczy żołnierzy Czerwonej Armii i a jednocześnie uśmierzyć ich niezadowolenie, czyniąc ich panami podbitych krajów.

Nie trzeba chyba wskazywać jak niebezpieczne byłoby przeprowadzenie tego planu dla przyszłości całego świata. Wszelkimi sposobami trzeba dążyć do tego, by Rosję powstrzymać od wstąpienia na drogę odosobnienia i skłonić ją do polityki współpracy.

Londyn, 21 października 1945

ALEKSANDER BORAY

Nowości lotnicze

Bomba atomowa jest bez przerwy przedmiotem dyskusji międzynarodowych. Niewątpliwie fakt istnienia tej straszliwej broni wpływa poważnie na politykę wielkich mocarstw. Ponieważ jednak nie rozwiązano dotychczas problemu wyrzucania tej bomby inaczej, jak z samolotu t.zw. sprawy atomowe łączą się ściśle z lotnictwem. Dlatego n.p. sytuację na Dalekim Wschodzie ocenia się według znaczenia baz, jakie posiadają Alianci, szczególnie Amerykanie. Jest niezaprzeczalnym faktem, że okupując lotniska w Japonii, Chinach i na Aleutach Amerykanie mogą kontrolować znaczną część Azji Wschodniej i Centralnej.

Kontrolować jakiś kraj oznacza we współczesnym języku strategicznym, a więc i politycznym możność natychmiastowej interwencji z powietrza w tym kraju. Jeszcze przed wojną postawiono tezę, że: "kto będzie pierwszy nad lotniskami nieprzyjaciela, ten będzie zwycięzcą". Właśnie dziś, wobec istnienia bomby atomowej, wobec faktu, że jeden samolot może zadać straty równające się przegranej bitwie, zaś kilka samolotów może wygrać wojnę, znaczenie kontroli danego kraju znaczy jeszcze więcej, niż przed 1944 rokiem. Kto nie chce być napadnięty i zniszczony, ten nie może dopuścić, by choćby jeden samolot był w stanie wystartować z lotnisk grożących niebezpieczeństwem.

Łącznie z tym wszystkim dawny sposób ubezpieczenia się przy pomocy n.p. państw buforowych, lub stałego pogotowia wojennego wewnątrz krajów nie jest więcej aktualny. Trzeba szukać nowych sposobów. Te zaś, jeżeli mają być skuteczne, leżą na dwóch przeciwległych krańcach pojęć współżycia międzynarodowego. Albo należy utrzymywać niebezpieczne kraje w stałym niewolnictwie i zależności zarówno gospodarczej jak i politycznej, albo należy je uczynić partnerami własnej polityki w tak dalekim stopniu, by atak na partnera był złym interesem, gdyż godziłby w jego własne interesy.

Jednym z najlepszych sposobów wciągnięcia jakiegoś partnera we własny krąg życia, jest związanie go wspólną siecią komunikacyjną: przede wszystkim — lotniczą.

— — — — —

Generał Marshall, szef sztabu amerykańskiego zapowiedział cały szereg nowych środków walki, które weszłyby do gry, gdyby świat zechciał znowu zacząć przemawiać do siebie językiem ognia i zniszczenia. Nie są to bynajmniej przepowiednie. Wszystkie bronie już istnieją, może niektóre w stadium początkowym, lecz jak wiadomo przy odpowiednich funduszach i przy odpowiednim stanie laboratoriów o ostateczny wynik nadzwyczaj łatwo.

Przykładem niech będzie bomba atomowa. Zasada rozbijania atomów była znana naukowcom jeszcze za życia Curie Skłodowskiej. Prace nad wydoskonaleniem zasady posuwały się jednak przez lat przeszło 30 bardzo powoli, gdyż ani prywatne, ani rządowe laboriatoria nie posiadały dostatecznych funduszów potrzebnych do prędkiego uzyskania wyników. Wyprodukowanie pierwszej bomby atomowej, jeżelibyśmy zliczyli wszystkie złączone z jej produkcją wydatki kosztowało świat około miliarda funtów szterlingów. Obliczenie jest dość ostrożnie ujęte. Według wszelkiego prawdopodobieństwa znacznie więcej. Samo doprowadzenie jej do stanu używalności praktycznej, przy wszystkich elementach znanych i wypraktykowanych kosztowało dużo; jedni mówią o 800 milionach dolarów, inni "tylko" o 200.

Rakiety także nie były tanie. W czasie obecnej wojny same tylko Niemcy wydały przeszło 2 miliardy marek, by koniec końcem dojść do rezultatów niekoniecznie doskonałych. V.2. czy też z innej dziedziny "Me 163" to dopiero noworodki, a może i mniej jeszcze.

Generał Marshall mówi o następujących wynalazkach:

1. Przede wszystkim rakiety: można w tej chwili mówić o użyciu rakiet kierowanych przy pomocy radia i nie radia, w każdym razie przy pomocy elementów ciepła, światła, czy magnetycznych. Są one bezwględnie dokładne, celność ich jest absolutna.

2. Bombowce o napędzie termiczno-strumieniowym, o szybkości przekraczającej szybkość dźwięku. Mogą w tej chwili mieć zasięg około 1500 mil, dźwigając ładunek bomb zwykłych, przekraczający 50 ton. Tu dodać należy, że w tej chwili ogłoszone są już doświadczenia z bombami o tej wadze, a nawet i większymi.

3. Samoloty myśliwskie przekraczające szybkość dźwięku, o zasięgu 2,000 mil, o pułapie 10 — 15 mil /pułap znanych obecnie samolotów nie przekracza 10 — 15 kilometrów/, a więc o 60% wyższym, niż współcześnie osiągany.

Generał Marshall raportując o tym Mr. Pattersonowi, który jest amerykańskim sekretarzem stanu dla spraw wojny, dodaje: "nowe pociski rakietowe trafią każdy zakład przemysłowy, kierowane przez ciepło, które wydzielają maszyny fabryczne. Są zaś tak czułe na ciepło, że reagują na ciepło ciała wchodzącego do pokoju człowieka".

Mówiąc natomiast o samolotach generał Marshall podkreśla, że w praktyce nie ma już właściwie granic w szybkości pilotowanego przez człowieka samolotu.

Gdy się mówi o środkach ataku, nie sposób nie wspomnieć o środkach obrony. I tak n.p. w ostatnich tygodniach ze źródeł oficjalnych zarówno Stanów Zjednoczonych, jak i Wielkiej Brytanii wypłynęła wiadomość, że znaleziono skuteczny sposób na bombę atomową. Potrafiono bowiem stworzyć coś w rodzaju kurtyny radio-elektrycznej, która spowoduje eksplozję każdej bomby atomowej na setki mil przed celem, przy czym broniący nie potrzebuje wiedzieć z jakiego kierunku i na jakiej wysokości zbliża się niebezpieczeństwo.

Nowoczesne środki obrony przeciwlotniczej zautomatyzowały się całkowicie. Wobec tego szybkość samolotu nie jest więcej gwarancją przeciw niebezpieczeństwu trafienia. Należy raczej uważać szybkość jako pewnego rodzaju ochronę przeciw odkryciu i umiejscowieniu celu poruszającego się z szybkością przekraczającą znacznie szybkość dźwięku.

Wszystkie środki napotykają zawsze na przeciwśrodki. Najgorzej jest z najprostszymi. Do tej chwili bowiem nikt nie znalazł środka przeciw zwykłemu, dziś już przestarzałemu V.2.

Także środki obrony przeciw latającym bombom są dość prymitywne i nie posunęły się od czasu, kiedy latały one nad Londynem, Antwerpią i Brukselą.

Wszystkie środki mają swe przeciwśrodki, powtarzamy. Na uniknięcie okropieństw nowej wojny jest tylko jeden środek skuteczny: zniwelowanie tajemnicy t.zw. "wojskowej" oraz tajnej dyplomacji. O tym wiedział zresztę już Kongres Wersalski, o tym wiedziało doskonale zacne zgromadzenie narodów w San Francisco. O tym wie każdy, kto choć trochę zorientował się w abc polityki współczesnego świata.

Jednak któż może gwarantować, jaka siła potrafi skontrolować, czy za pozorną uczciwością jakiegoś narodu, nie kryje się straszliwa groźba tajemniczego nowego środka walki, czy gdzieś w jakichś podziemnych laboratoriach szaleńcy dążący do władzy za każdą cenę, nie przygotowują czegoś jeszcze bardziej groźnego i niszczącego?

Wszyscy wiedzą, że na kłamstwo jest tylko jeden sposób: nie kłamać. Lecz to jest rzecz indywidualnego sumienia każdego człowieka. To samo stosuje się i do narodów. Lecz człowiek lub naród, który nigdy nie ucieka się do kłamstwa to marzenie idealisty, gdy bomba atomowa jest rzeczywistością aż nazbyt realną.

M. J. GORDON

Stosując się do zarządzenia Władz Brytyjskich Służba Opieki nad Żołnierzem zaprzestaje z niniejszym numerem wydawania "Polski Walczącej". W tym ciężkim momencie troskę o byt pisma i całkowitą za nie odpowiedzialność bierze na siebie zespół ludzi dobrej woli. Staje on przed rozlicznymi trudnościami, o których będzie szczerze powiadamiał Czytelników oraz Przyjaciół polskich i angielskich. Z ich pomocą ma on gorącą wolę i głęboką nadzieję utrzymać to pismo, które od sześciu lat bez przerwy pozostaje w służbie żołnierza, służącego Ojczyźnie.

Ognisko Polskie,
45, Belgrave Sq. S.W.1
dnia 31 października,
w środę, o godz. 6,15 wiecz.

TOLA KORIAN

diseuse

PIOSENKI TRZECH WIEKÓW
XVIII — XIX — XX

amerykańskie — angielskie — francuskie — polskie — szkockie — włoskie

Akompaniament:
prof. JERZY MALINIAK

Wstęp 3/- /dla szeregowych w mundurze 1/-/

Czysty dochód na Polaków w Niemczech.

OD ADMINISTRACJI

Wobec przewidywanej możliwości redukcji przydziału papieru dla "Polski Walczącej" zachodzi obawa, że nr. 42 z datą 3 listopada 1945 może ukazać się w znacznie zmniejszonym nakładzie. W tym przypadku:

kolporterzy otrzymają proporcjonalnie zmniejszone ilości egzemplarzy,

prenumeratorzy otrzymają pismo jak dotychczas,

wszystkie bezpłatne i okazowe wysyłki zostaną czasowo wstrzymane.

W miarę zwiększania przydziału papieru nastąpi stopniowy automatyczny powrót do obecnych warunków.

Zgłoszenia na nowe prenumeraty nie będą przyjmowane aż do odwołania.

Zmiana adresu Administracji.

Nowy adres Administracji /Business Offices/:
33, Bolton Gardens, Earl's Court, London, S.W.5.

STOWARZYSZENIE PISARZY POLSKICH

urządza dnia 3 listopada w sobotę o godz. 6,15 wiecz.

w Ognisku Polskim, 45 Belgrave Square, S.W.1
odczyt

ZOFII KOSSAK SZCZUCKIEJ

Autorki "Złotej wolności", "Legnickiego pola", "Bez oręża" i "Krzyżowców"

p.t.

ŚWIADECTWO O OŚWIĘCIMIU

Wstęp 2/6 /dla szeregowych w mundurze 1/-/

Z "Południa" na "Północ" Warszawy

Powstańcze śródmieście Warszawy dzieliła na dwie części wstęga Alei Jerozolimskich. Płat miasta od ul. Królewskiej na północy, do Placu Unii Lubelskiej na południu tworzył zwartą całość gęsto pobudowanych i solidnych — jeszcze sprzed tamtej wojny — domów. Całość ta dzieliła się jednak na część północną i południową, bo Aleje w pierwszych dniach powstania, praktycznie biorąc, należały do Niemców. Siłą rzeczy wytworzyły się więc w śródmieściu dwa sąsiadujące z sobą ogniska walki. Służbowo "Południe" podlegało jednak "Północy".

Aleje — przez okupantów nazwane *Bahnhofstrasse*, a przez nas Alejami Sikorskiego — stanowiły dogodną trasę komunikacyjną ze wschodu na zachód. Obsadzenie ich przez Niemców, niezależnie od możliwości komunikacyjno-transportowych, dawało im możność dodatkowego przenikania do wnętrza śródmieścia na obie strony: północną i południową. Obsadzili więc silnie Bank Gospodarstwa Krajowego, "Café Club", "Cristal" i "Żywiec". Były to punkty górujące i dające możność strzelania wzdłuż Alei. Czołgi niemieckie chodziły Alejami, trzymając pod swym ogniem obie strony tej ulicy i niszcząc domy. Na odcinku od Nowego Światu do Dworca Głównego już w pierwszych paru dniach większość domów była spalona, a mieszkańcy rozpierzchli się, zostali wymordowani lub zagarnięci przez Niemców.

W tych więc warunkach łączność "Południa" z "Północą", gdzie znajdowała się Komenda Okręgu Warszawskiego i Dowództwo 1-szego Obwodu była bardzo trudna. Przemykali się wprawdzie przez Aleje gońcy bojowi. Łączniczki z ogromnym poświęceniem nosiły meldunki i rozkazy, ale połączone to było ze zbyt dużymi stratami w ludziach i ryzykiem niedoręczenia na czas wiadomości. Wielu śmiałków przebiegających wtedy przez Aleje padło tam, oczekując dnia swego pogrzebu aż do chwili zakończenia działań.

Przy końcu pierwszego tygodnia walk udało się nam zamknąć Aleje dla niemieckich czołgów. Placówki nasze w ruinach niektórych domów skutecznie przeciwdziałały przenikaniu niemieckich patroli pieszych, od początku jednak aż do samego końca walk Niemcy trzymali Aleje pod swoim ogniem. Strzelali w dzień do upatrzonych celów, strzelali w nocy na odgłos jakiegoś ruchu. Niezależnie od ognia kaemów i moździerzy, obrabiali oni Aleje ogniem działowym z czołgów podchodzących w tym celu pod Dworzec Główny.

W tych warunkach — dla uniknięcia niepotrzebnych strat — utrzymywaliśmy łączność z "Północą" dopiero po zapadnięciu zmroku. Trasa biegła z naszej strony od jedynego bodaj niespalonego na tym odcinku Alei domu nr. 17 do nr. 22 po stronie przeciwnej. Oba te domy obsadzone były przez nasze silne placówki, dozorujące specjalnie kierunku od Marszałkowskiej. Obecność Niemców w barze "Żywiec" — a więc w bardzo bliskiej odległości — dodawała specjalnego uroku każdej przeprawie. Były to czasy, gdy powstawała dopiero myśl zbudowania przez Aleje tunelu kombinowanego z wykopem celem przechodzenia na drugą stronę. W tych pierwszych dniach skakało się po prostu pędem z jednej strony na drugą.

W drugim tygodniu walk dostałem rozkaz udania się po raz pierwszy od Dowództwa 1-szego Obwodu celem złożenia wyczerpującego meldunku o naszej sytuacji oraz uzyskania tam trochę amunicji.

Amunicji nie mieliśmy właściwie nigdy w dostatecznej ilości, ale wtedy właśnie było specjalnie ciężko pod tym względem.

Najwięcej brakowało nam ładunków do pistoletów maszynowych. Zapasy kończyły się w zastraszającym tempie. W pierwszych dniach walki młody żołnierz powstańczy niezbyt rozsądnie gospodarzył amunicją. Chciał strzelać. W grzechotaniu własnej broni maszynowej wyżywał się. Magazynek peemu ma tylko 32 naboje. Jakże więc łatwo jest nacisnąć nieco dłużej język spustowy i wystrzelać je wszystkie. I to w bardzo krótkim czasie. Broni palnej było tak mało. Uzbrojony żołnierz musiał się dwoić, troić i udziesięciokrotniać. Na ulewę ognia niemieckiego, na kucie niemieckich pocisków w ściany naszych domów i barykad trzeba było jakoś odpowiadać, trzeba było się bronić. Żołnierz nasz w natarciu przybity do ziemi nawałą ognia niemieckiego, przyczajony za węgłem, ukryty w zwaliskach domu raźniej podrywał się do przodu, słysząc własne strzały.

W wyniku tych wszystkich bojowych potrzeb i własnej fantazji żołnierz nasz żądał amunicji, jak najwięcej amunicji.

W magazynie naszym ładunków już nie było, zrzuty nie dopisywały, na ewentualną zdobycz u Niemców nie można było z całą pewnością liczyć, potrzeby były ogromne — pozostawał więc tylko jako ostateczność magazyn Dowództwa 1-szego Obwodu.

Wybrałem się przeto na tę wyprawę po "złote runo". Droga nie była zbyt długa. Noc zapadła bardzo ciemna. Szedłem skrótami. Warszawa była wtedy miastem katakumb i przejść podziemnych. Piwnice poszczególnych domów łączyły się między sobą przez otwory powybijane w murach. Można było tak iść podziemiami setki metrów, przechodząc górą tylko przez podwórze, i nurkując w następnym zejściu do piwnicy. Na ulicę można było w ogóle nie wychodzić. Zaczęto zresztą już kopać tunele pod ulicami i przejść tych przybywało z każdym dniem coraz więcej.

Szło się korytarzem piwnicznym, który był z reguły oświetlony. Paliły się tam jakieś świeczki lub kaganki, a często nawet lampki elektryczne, bo Elektrownia Miejska w Powstańczej Warszawie walczyła jeszcze wtedy skutecznie z bombardowaniem artyleryjskim i lotniczym i pracowała w najlepsze, dzięki zresztą niebywałemu poświęceniu całego swego personelu.

Drogę ułatwiały liczne strzałki wskazujące kierunek. Posterunki spośród mieszkańców danego domu regulowały ten podziemny ruch, zwłaszcza na rozwidleniach i w ciasnych przejściach. W pewnych miejscach legitymowano przechodzących. Panowała wtedy rzetelna ochota wyłapywania *Volksdeutschów* i wszystkich podejrzanych o sprzyjanie Niemcom. Polowano również na tak zwanych "gołębiarzy". Czasami na tym tle zdarzały się śmieszne nieporozumienia, były jednak wypadki przychwycenia osób, przedzierających się na stronę niemiecką z wiadomościami o naszej sytuacji lub donoszących amunicję dla niemieckiej dywersji wewnątrz naszych linii. Dywersantów tych nazywaliśmy "gołębiarzami", gdyż strzelali oni zwykle z poddaszy wysokich kamienic. Byli to przeważnie *Volksdeutsche* władający doskonale językiem polskim.

W piwnicach panował ożywiony ruch. Korytarzami ciągnęły kolejki wędrujących, a we wnękach piwnicznych, gdzie normalnie trzymało się stare graty, węgiel i kartofle na zimę — rezydowały całe rodziny Warszawiaków. Pościągano z mieszkań materace, sienniki, pościel, jakieś stołki, pozabierano rzeczy cenne i jak kto mógł lokował się w tych nowych warunkach.

Warszawa powoli schodziła do podziemi — tym razem już bez przenośni. Miała tam pozostać przez pełne 63 dni, ale wtedy nikt o tym nie wiedział. Był to przecież dopiero początek. Nie wiedzieliśmy, że miasto zostało skazane na śmierć już z chwilą, gdy padły w nim pierwsze strzały. Możliwość podobnie potwornego cynizmu oficjalnej polityki możnych tego świata nie mieściła się nam w głowach. Byliśmy dobrej myśli.

Do domu nr. 17 przy Alejach Sikorskiego dochodziło się piwnicami od Nowogrodzkiej. Na podwórzu kręciło się kilkanaście osób w oczekiwaniu swej kolejki przejścia. Chwilowo nastąpiła przymusowa przerwa w przechodzeniu, bo Niemcy rozpoczęli właśnie koncert z broni maszynowej przeplatany krótkimi werblami z moździerzy. Sądząc z odgłosu wybuchu tłukli gdzieś na wysokości następnego domu w kierunku Nowego Światu.

Dowódca placówki zapędzał kręcących się po podwórzu do bramy lub do piwnicy w obawie, aby przypadkiem jaki granat nie rąbnął w środek podwórza i nie narobił mięsa.

Przysiadłem w kąciku przy wejściu do bramy i czekałem. Studnia podwórza dziwnie mocno oddawała każdy wybuch, wyjście z bramy na Aleje rysowało się nieco jaśniejszą czernią, niż całe otoczenie. W świetle wybuchów widać było hełmy naszych żołnierzy przytulonych do przedpiersia z worków z piaskiem. Przedpiersie to wyrzucone półkolisto przed bramę kawałeczek na chodnik służyło jako gniazdo r.k.m. i broniło wejścia.

W chwilach jasności ukazywały się migawkowo drzewa i kawałek wypalonych murów domu z przeciwka. I drzewa i dom były martwe. Strawił je ogień. Ludzie koło mnie rozmawiali szeptem, jakby w obawie, aby nie zaalarmować Niemców. Czuć było zapach spalenizny.

Nad moją głową na ścianie wisiała jakaś skrzynka. Zapalając papierosa rzuciłem na nią okiem. Napis: *"POCZTA POWSTAŃCZA"*. To właśnie harcerze — nieletnie dziewczęta i chłopcy — ryzykowali życie, aby doręczyć wiadomości nieraz za liniami niemieckimi. Karteczka taka — przyniesiona często z innej dzielnicy miasta, donosząca, że najbliżsi żyją — dodawała ducha, pozwalała trwać, stawała się dźwignią i bodźcem do dalszej walki. My wszyscy, oddzieleni od swych rodzin od tak dawna, wiemy jakie znaczenie ma taka wiadomość. Te dzieciaki z harcerstwa wykonywały dobrą robotę, zbyt jednak niebezpieczną dla ich młodych lat.

Odgłos strzałów, potęgowany w studni warszawskiego podwórza, szepty ludzkie koło mnie, widmowe zjawy ludzi i rzeczy w świetle wybuchów nie czyniły bynajmniej wrażenia specjalnej grozy. Wszystko to razem było raczej mocno nierealne, robiło wrażenie filmu. Nie mogłem uwierzyć, że jest to warszawska rzeczywistość. Tylko swąd spalenizny przywoływał do tej rzeczywistości.

W pewnej chwili — po dłuższej przerwie w strzelaninie — w bramie zaczął się ruch. — "Wojskowi mają pierwszeństwo" — usłyszałem. Stanąłem u wylotu na ulicę. Żołnierz przytulony do ściany wskazywał mi kierunek i mówił po cichu: — "Nieco na ukos, szybko i cicho, już".

Wyskoczyłem z przedpiersia, trzy susy i już biegnę po jezdni, szybko, ale wcale niecicho, przeciwnie zupełnie głośno, walę butami po kamiennej kostce aż grzmi. Zdaję sobie z tego sprawę, chcę biec ciszej, a tu jak na złość jakaś blacha, czy zwój drutu pod nogami, kawałek szyny, jakieś cegły. Skrzypi to i hałasuje okrutnie. Jeszcze parę metrów, wbiegam na trawnik przeciwległego chodnika, ciągnę za sobą nogą jakiś drut, potykam się, słyszę terkot kaemu, pociski plaskają daleko za mną, zupełnie nie na moim kierunku.

Wcale nie pragnę dać Niemcom możności celniejszego strzelania i mocno zadowolony wpadam w ramiona placówki spod nr. 22. Jestem zdziwiony familijnym przyjęciem i za chwilę orientuję się, że tu nie chodzi — o specjalną gościnność w stosunku do mojej osoby, bo każdy rozbiegany przybysz ze strony południowej jest w ten sam sposób łowiony w otwarte ramiona . . . po prostu dla wylegitymowania.

Dalej wszystko poszło jeszcze gładziej, niż dotychczas. Po 15 minutach meldowałem się w Dowództwie 1-szego Obwodu. Przyjął mnie Szef Sztabu mjr. Wola. Przedstawiłem mu wszystko co się u nas dzieje i poprosiłem o przydział amunicji.

Mjr. Wola był bardzo życzliwie nastawiony, rozumiał nasze konieczności, lecz oświadczył, że odnośnie amunicji nic nie może poradzić. Wydał już resztę, będącą w jego dyspozycji i tylko pułkownik Radwan może dać rozkaz przydzielenia jakiejś, niewielkiej zresztą ilości. — "Zamelduję pana do dowódcy" — zakończył rozmowę i wyszedł.

Stałem w korytarzu piwnicznym, pokoik pułkownika był o parę kroków we wnęce piwnicznej. Była to ta część Dowództwa, którą w piątym tygodniu powstania zawalił pocisk najcięższej artylerii. Zginęło wtedy pięciu oficerów ze Sztabu Obwodu, a między nimi mocno zbudowany kapitan, który teraz ze mną rozmawiał. Z izdebki pułkownika usłyszałem słowa: " . . . dobrze, niech przyjdzie, choć już przecież był u mnie dziś wieczorem Lewar, tak to był porucznik Lewar, w jaki sposób przez te parę godzin został kapitanem?"

Za chwilę zameldowałem się pułkownikowi Radwanowi. Leżał w łóżku, był w bandażach. Parę dni przedtem niebezpiecznie ranny nie poszedł do szpitala, ale pozostał na swoim stanowisku i dalej dowodził. Twardy człowiek.

—"A więc to nie ten Lewar, o którym myślałem, niech pan siada. Z których pan Lewarów?" — pytał pułkownik z uśmiechem.

—"Ze szkockich, panie pułkowniku. Mam polecenie złożyć meldunek o naszej sytuacji na południu i prosić o przydział amunicji, której nam całkowicie brak".

Widziałem, że pułkownik niechętnie przyjął tę prośbę. Wypytywał mnie o wszystkie szczegóły naszych walk, interesował się wszystkim, kazał sobie przedstawić dokładnie położenie na planie Warszawy według sytuacji z ostatniego wieczora i wreszcie rzekł:

—"Amunicji nie dostaniecie, nie mam jej do wydawania na każde zapotrzebowanie, to co mam w zapasie, to trzymam na gorsze chwile. Niech się wam nie zdaje, że teraz jest źle. Nadejdą chwile, o których wam się obecnie nie śni. Strzelajcie teraz jak najmniej. Natarcia niemieckie odpierać granatami i butelkami z benzyną. Benzyny macie przecież dosyć. Strzelać tylko w ostateczności. Każdy strzał musi być celny. A przede wszystkim trwać na swoich stanowiskach. Teraz siedzicie po domach, przyjdzie czas, gdy będziemy siedzieć tylko w gruzach, ale gruzów tych każdy z nas musi bronić zębami i pazurami. Musimy uczepić się piwnic i każdej dziury w ziemi i za nic nie pozwolić wykurzyć się z tych dziur. Kiedy już wszystko spalą, to nawet będzie lepiej, bo już nic nie będzie sypało się na głowę żołnierzowi.

Musimy wytrwać w tej grze, na niczyją pomoc nie wolno nam liczyć. Jeśli pomoc ta nadejdzie, to tym lepiej, ale jakoś niebardzo się na to zanosi. A my oddawać stanowisk naszych nie możemy, bo nie mamy dokąd cofać się, nie mamy dokąd iść.

Tu właśnie jest do spełnienia zadanie każdego oficera. Jeśli żołnierz nie wytrzymuje ognia działowego za ścianą domu, czy za barykadą, to wycofać wojsko za następną ścianę, do przedpokoju, na klatkę schodową, niech się wali od pocisków przednia ściana, zostawić tam tylko czujki, a resztę wojska chronić od ognia. Kiedy Niemcy skończą strzelanie z dział i gdy wyruszy natarcie, wtedy wszystkich z powrotem do pierwszej linii. Piechotę niemiecką dopuszczać jak najbliżej i z najbliższej odległości walić granatami i butelkami z benzyną. Wtedy możecie strzelać.

Niech pan przekaże mój rozkaz, że za oddanie własnego stanowiska — sąd polowy dla dowódcy. Teraz już przygotujcie sobie piwnice na kwatery dla dowództw i wojska. Szykujcie zapasowe stanowiska w piwnicach na czas, gdy na górze już nic nie będzie, gdy nawet gruzy zamienią się w pył. I pamiętajcie o jednym, że do tej pory nie mamy praw kombatanckich. Nie chroni nas żadna umowa międzynarodowa. No, żegnam pana kapitana, dostał pan nauki zamiast ładunków, ale i to ma swoją wartość".

—"Odmeldowuję się, panie pułkowniku".

Było mi głupio. Wracam z pustymi rękami. Gdy już przekraczałem próg, pułkownik odezwał się cicho:

—"Jeśli u was rzeczywiście jest tak źle z amunicją, to dam 5000 sztuk do kb. Mauzer i 2000 sztuk do peemu. Niech pan poprosi majora Wolę".

Byłem uszczęśliwiony. Za kilkanaście minut dźwigałem na plecach worek z ładunkami do pistoletów maszynowych. Worek ten był dość ciężki. Za mną szła gęsiego grupka żołnierzy, z których każdy niósł 600 sztuk naboi do karabinu w kartonowym, fabrycznym opakowaniu po 300 sztuk w każdym pakiecie.

Już dniało. Aleje przeskoczyliśmy szczęśliwie. Niemcy ustrzelili tylko jakichś dwu mężczyzn, którzy przyłączyli się przy przejściu i biegli za moją kolumienką. Nie wiem, czy zostali ranni, czy też zabici. Żołnierze z placówki z tamtej strony zaciągnęli ich z powrotem do bramy nr. 22.

W dowództwie Śródmieście Płd. czekał na mnie już fonogram z Dowództwa 1-szego Obwodu: *"Kpt. Lewar otrzymał ode mnie* 5000 *sztuk ładunków do kb. i* 2000 *sztuk do peemu. Amunicję tę należy zamagazynować. Użycie jej tylko za moim zezwoleniem. — Radwan"*.

Po wrażeniach nocnych chciałem się przespać. O godz. 6-ej rano zaczął się ruch niemiecki w kierunki na Politechnikę i od strony Sejmu. Przybiegli gońcy, alarmując o amunicję. Telefoniczne połączenie nasze z "Północą" jakoś nie działało, wysyłać gońca z zapytaniem było niecelowe, bo nacisk Niemców zaznaczał się zbyt wyraźnie.

Wydałem połowę przyniesionej amunicji do kb. i trzy czwarte ładunków pistoletowych. Spać poszedłem dopiero następnej nocy.

BOHDAN KWIATKOWSKI
/"LEWAR"/

Rzecz wygłoszona na pierwszym "Wieczorze poświęconym Powstaniu Warszawskiemu" w Alliance Hall, 12 październiku b.r.

ZWIĄZEK DZIENNIKARZY R.P.

urządza dnia 5 listopada o godz. 6,15 wiecz. w sali Caxton Hall, Caxton Street, S.W.1 /naprzeciw zachodniego wyjścia ze stacji kolejki podziemnej St. James's Park/

Drugi Wieczór

poświęcony Powstaniu Warszawskiemu

Wezmą w nim udział uczestnicy Powstania: ZIEMOWIT KARPIŃSKI, ANDRZEJ KORBOŃSKI, ZOFIA WIŚNIEWSKA, MIROSŁAW WOJTYSIAK

oraz następujący mówcy: WACŁAW BRUNER, JÓZEF KISIELEWSKI, JERZY LERSKI-JUR, STANISŁAW STROŃSKI, TYMON TERLECKI

swój niedrukowany wiersz o Powstaniu odczyta: MARIAN HEMAR

przewodniczyć będzie: ZYGMUNT NOWAKOWSKI

Wstęp 2/6 /dla szeregowych w mundurze 1/-/

Reportaż z podróży do Danii (III)

Dobrze się dzieje w państwie duńskim*

Bandera jednego z polskich okrętów wojennych na gmachu "Politiken" największego pisma w Kopenhadze, reprezentująca w "Dzień Zwycięstwa" nasze barwy narodowe, co się stało na osobistą interwencję żołnierza Armii Krajowej

OAZA BEZTROSKI, SZCZĘŚCIA I SYTOŚCI

Po dłuższym pobycie w Europie dotkniętej żagwią wojny, po dłuższym przebywaniu wśród ruin miast i życia w Niemczech, po braku artykułów pierwszej potrzeby w Holandii, po kontrastach Belgii, przeżartej czarnym rynkiem, po Francji niegdyś tak bogatej, a teraz borykającej się z nędzą, po całym tym chaosie, jaki wojna pozostawiła w zachodniej Europie — Dania, jeden z krajów, przez który również przewaliły się niemieckie wojska okupacyjne, wywiera teraz oszałamiające wrażenie idealnego spokoju i przedwojennego dobrobytu.

Nie znałem przedtem Danii, ale przed wojną byłem we wszystkich krajach skandynawskich, to też przechadzając się pięknymi ulicami Kopenhagi, po słonecznej Vesterbrogade, po rojącym się od tłumów Vestre Boulevard, wokół malowniczej podkowy kanałów śródmieścia, wśród jasnych domów kopenhaskiego Żoliborza lub Saskiej Kępy — starałem się wyobrazić sobie, jakie odniósłbym wrażenie, gdybym przed wojną na zakończenie włóczęgi po skandynawskich cudach zawędrował do tego kraju, przespawszy gdzieś po drodze przy pomocy jakiś czarów, długie lata strasznej wojny. Otóż przy pobieżnym zapoznaniu się z Danią i jej stolicą w ogóle nie domyśliłbym się, że świat w tym czasie przeżył okropny kataklizm.

Może zdziwiłoby mnie, że w piekarniach wyładowanych aż po sufit pieczywem wszelkiego rodzaju żąda się kartek, że w niektórych równie zasobnych w towary branżach istnieją w handlu kupony, że w restauracji kelner coś tam wspomina o karcie żywnościowej, lecz zaraz potem robi lekceważący gest, zapomina o swoim pytaniu i za dwie i pół korony /korona jest nieco tańsza od szylinga/ obkarmia mnie tak, że ledwo wstaję od stołu.

W Kopenhadze można kupić normalnie w sklepie niemal wszystko, nawet takie artykuły, które podczas wojny stały się rzadkością w Londynie. Sklepy zawalone doskonałymi radioodbiornikami zegarkami, galanterią, za 30 koron kupuję kompas Bezarda, pokazują mi narty-hickory z wiązaniami "kandahary" za — 110 koron! Ulice jasno oświetlone, reklamy, neony, wesołe, zamożnie ubrane tłumy przechodniów, kina, rozbrzmiewające orkiestrami dancingi, doskonałe piwo i wieczorami na ulicach rozbawione towarzystwa . . . pod dobrą datą. Słowem przedziwna wyspa szczęśliwości na tym ponurym świecie. Wprost nie chce się wierzyć, aby ten kraj tak długo i tak do niedawna okupowali Niemcy.

LUDZIE, KTÓRZY UMIEJĄ JESZCZE BYĆ DZIECINNI

W samym śródmieściu Kopenhagi, tuż koło Central Station znajduje się znany park rozrywkowy "Tivoli", który co wieczór skupia tysiączne rzesze poszukiwaczy zabawy i wzruszeń. Za drobną opłatą, a wojskowi za darmo, można podziwiać tam wszelkie cuda: przyglądać się z zapartym oddechem karkołomnym sztukom akrobatów, słuchać dobrej muzyki, napawać się pędem kolejki górskiej, urządzonej nie na rusztowaniach, lecz na wielkich sztucznych skałach, tłuc piłkami talerze, przegrywać drobne w ruletę, zakosztować wszystkich uroków lunaparku.

Trafiłem tam akurat na obchód stulecia . . . jakiejś popularnej duńskiej piosenki. Uroczystość rozpoczęła się wspaniałym pochodem, na którego czele kroczyła wielka orkiestra i oddział wojska w historycznych strojach, poprzedzając karetę zaprzężoną w czwórkę koni. W karecie jechała majestatycznie para królewska, a z tyłu maszerowało znów malownicze wojsko, wreszcie oddział artylerii morskiej. Wszystko to byli bardzo młodzi chłopcy, a w karecie jechała kilkuletnia "królowa". Jeden z dalszych punktów bogatego programu stanowił występ baletu, wreszcie, na zakończenie zademonstrowano imponujący pokaz ogni sztucznych. Na tle pawilonu w maurytańskim stylu wytryskały różnokolorowe światła, kręciły się wiatraki rozpylające deszcz ognia, kapały płonące łzy rakiet i wysoko na czarnym niebie przy ogłuszającym huku zarysowywały się zielone, czerwone i złote korony palm. Orgia ognia, orgia karnawału rozjaśniła północne niebo. Tłumy stłoczone, uradowane, wykrzykiwały radośnie. Ciepła noc pulsowała dziecinnym szczęściem.

MY JUŻ NIE UMIEMY . . .

I wtenczas odkryłem w sobie niepokojący rys. Mnie to wszystko nie cieszyło, należałem do jakiegoś innego świata. Gdy patrzyłem na akrobatów narażających życie dla pieniędzy i oklasków, przypomnieli mi się spadochroniarze, rzucający się w przepaść pod samolotem, w przepaść wypełnioną gwizdem rozpryskujących się pocisków plot, i kul karabinów maszynowych; gdy przyglądałem się rozrywającym się z hukiem rakietom, widziałem noce płonące światłami walki lotniczej, huk bomb i dział, paciorki świetlnych pocisków, których piękno niosło śmierć zawieszonym pod niebem lotnikom.

Gdyby te tłumy w kopenhaskim "Tivoli" wiedziały, co to znaczy prawdziwy cyrk, prawdziwe widowisko, prawdziwe piękno życia, kiedy żołnierze wydobywali z siebie wszystko, walcząc za swój daleki dom, za uśmiech kochanej dziewczyny, za prawo do szczęścia i tej dziecinnej uciechy! Ale zrozumieć to może tylko ten, który to przeżył. Przyglądałem się tym tłumom, tym ludziom, co nic nie utracili, tym duńskim żołnierzom, którzy nie widzieli wojny, tym dziewczętom, które nie uroniły ani jednej łzy. Zrobiło mi się smutno, bardzo smutno — bo zazdrościłem im, bo oddałbym całe ponure, wstrząsające piękno podróży poprzez patos wielkości i podłości dusz ludzkich, byle tylko jeszcze raz w życiu zaznać szczęścia w tej płytkiej i dziecinnej radości.

KONTRASTOWY OBRAZ NIEDOLI I NĘDZY POLSKIEJ

Z tym obrazem rozbawionych tłumów w "Tivoli" łączy mi się teraz zawsze inny obraz, jaki widziałem w Kopenhadze. Oto na jednym z jej zamożnych, nowoczesnych przedmieść znajduje się wielki, niezupełnie wykończony gmach szkoły, w której mieści się obóz polskiej ludności wywiezionej przez Niemców na przymusowe roboty. Gmach i jego ogród otaczają druty kolczaste, a wokół nich przechadzają się uzbrojone warty duńskie.

Idąc ładną ulicą, ocierając się o zasobnie ubranych mieszkańców tej dzielnicy, obserwuję poprzez druty jakieś dziwne istoty, nędznie przyodziane, żyjące pół-cygańskim życiem pośród wysokiej kultury tego miasta. Na podwórzu, za drutami, ludzie palą ogniska, rozwieszają na sznurach podartą bieliznę. Druty i warty nie krępują bynajmniej ich wolności, w porze dziennej mogą za przepustkami bez ograniczeń wychodzić na miasto. Niemniej widok jest przykrym zgrzytem na estetycznym tle miasta.

Większym zgrzytem są warunki, w jakich półtora tysiąca Polaków gnieździ się w tej szkole. Całe rodziny, starcy, kobiety, dzieci, śpią pokotem na podłodze, każdy zakamarek gmachu jest zamieniony na prymitywny "home", a na strychu tak ciemnym, że w południe nie mogłem zrobić zdjęcia fotograficznego, w kątach między pochyłym dachem a betonową podłogą, jak w mysich dziurach również kwaterują Polacy.

Odżywienie jest podobne. Zamiast obiadu dwie kanapki, zamiast kolacji chochla gorącej strawy. Wprawdzie ludzie nie głodują, bo w Danii bardzo łatwo zdobyć żywność, ale muszą dokarmiać się własnym przemysłem i zużywać na to 5-cio koronowy zasiłek tygodniowy. W porównaniu z warunkami w obozach w Niemczech grzechem byłoby narzekać, ale w porównaniu z zamożnością Danii, jest to minimum, na jakie ją było stać.

SPOTKANIE Z UCZESTNIKIEM POWSTANIA WARSZAWSKIEGO

—Niech pan rozejrzy się wkoło — powiada mi młodziutki warszawiak w battle-dressie, żołnierz A.K., uczestnik powstania warszawskiego. — Czy Pan zobaczy wśród tej powodzi chorągwi w Kopenhadze chociażby jedną polską chorągiew? Nie ma ani jednej! A przecież poza wielkimi mocarstwami udział Polski w wojnie był największy. Jedyna polska chorągiew, jaka ukazała się w Kopenhadze, w dniu obchodu końca wojny z Japończykami, została zawieszona na skutek mojej osobistej interwencji. Poszedłem do redakcji wielkiego pisma "Politiken" i wyraziłem swoje oburzenie, że na jej wielkim gmachu w środku miasta, wśród wszystkich możliwych chorągwi, nie ma polskiej. Tłumaczyli się, że nie mogli dostać, jakby zszycie kawałka białego i czerwonego materiału było czymś trudnym. Wobec tego dostarczyłem im natychmiast banderę polskiej marynarki wojennej, którą jeden z naszych kontrtorpedowców będąc w Kopenhadze ofiarował obozowi. Redakcja zgodziła się wywiesić. Kazałem to sfotografować — dodał z dumą żołnierz A.K. i ofiarował mi fotografię.

"POLAND" I . . . PAPIEROSY

Kiedy wracałem z obozu polskiego w Kopenhadze podszedł do mnie jakiś rozmowny Duńczyk, z zachwytem przeczytał na moim rękawie "Poland", powtórzył to kilka razy, jakby smakując w dźwięku i rozpoczął serdeczną rozmowę o niczym. Wiedziałem, jaki będzie koniec rozmowy: — "Czy nie ma pan papierosów do sprzedania?"

Bo jedynym poważnym objawem czasów powojennych w Danii jest brak papierosów. Przydział miesięczny jest znikomy i w najgorszym gatunku. Na ulicach prawie nie widzi się ludzi palących. Wszystkie popielniczki w lokalach publicznych błyszczą nieskalaną czystością. Palenie na ulicy, co uprawiają nieliczni zresztą żołnierze alianccy, jest niemal okrucieństwem. Cała Dania chce palić i cierpi niesamowicie z tego powodu.

Wystarczy posiedzieć przez kilka minut w samochodzie na ulicy, aby dwu, trzech Duńczyków zapukało w szybę i szepnęło błagalnie na temat papierosa. Czarny rynek kwitnie w tej branży: 1 papieros — 1 korona. Oglądając ceny w sklepach można śmiało powiedzieć, że n.p. kapelusz kosztuje 18 papierosów, a radioodbiornik — 500. Jest to jedyne "cierpienie" Duńczyka, na które jest bardzo niewytrzymały.

Nie omyliłem się wtenczas. Rzeczywiście mój sympatyczny Duńczyk zagadnął mnie o papierosa. Poczęstowałem go. A że wtenczas właśnie wracałem z obozu polskiego, jakieś śmieszne, nierozsądne pragnienia zakotłowały mi się w mózgu. Chciało mi się zaproponować mu, aby tak dla wyrównania ofiar poniesionych dla wspólnej sprawy, ja — Polak będę jemu — Duńczykowi dawał paczkę papierosów dziennie, a on wróci wolność mojej ojczyźnie, wskrzesi moich krewnych i przyjaciół, którzy zmarli od cierpień życia okupacyjnego w Polsce lub polegli na polu chwały, odbuduje mi dom, wróci mi lata stargane na wojnie i włóczędze po obczyźnie, a chociażby da ludzkie warunki życia moim współrodakom w tej kopenhaskiej szkole. Nie powiedziałem nic z tego, bo uważałby mnie za wariata. Zapaliłem mu jeszcze w dodatku ofiarowanego przeze mnie papierosa, pożegnałem się szybko i odszedłem.

JAK DANIA WYGRAŁA WOJNĘ I POKÓJ

Przecież poprzedniego dnia wieczorem u *"Town Major'a"* byłem świadkiem sceny, jak brytyjscy oficerowie, którzy przyjechali z okupacji niemieckiej na urlop wypoczynkowy do Kopenhagi, użalali się i wykłócali o znośny pokój w hotelu, bo tam gdzie ich kierowano, pokoje były już zajęte lub jak najgorsze. Oficer kwaterunkowy, bez bluzy, spocony, telefonował słodkim głosem na wszystkie strony, a potem klął brzydko, rzuciwszy słuchawkę.

—Dwadzieścia lat jestem w wojsku — tłumaczył się — ale jeszcze takiej sytuacji nie znałem. Tu nic nie można dostać. To nie Bruksela, nie Paryż, nie Utrecht. Tutaj my nie mamy prawa nic zająć, tu jesteśmy tylko gośćmi i o wszystko musimy żebrać.

Tak, ten kraj nawet W. Brytania traktuje z respektem, bo ten kraj był bardzo mądry, prawie nic nie dał do wspólnej puli wojennej, pod okupacją niemiecką zachowywał się tak, że spłynęła po nim jak po szkle, jest teraz zamożny i zasobny we wszystko. Ten kraj naprawdę był mądry i znał doskonale umysłowość innych narodów kupieckich. Dania musi być szanowana, bo wygrała na swój sposób wojnę i pokój.

SYRENA NA WYGNANIU

Jednym z najpiękniejszych i najpopularniejszych pomników Kopenhagi jest posąg syreny. Kiedyś jeszcze przed tamtą wojną jeden z bogatych kupców zachwycając się w teatrze baletem osnutym na bajce Andersena o pół-dziewczętach pół-rybach powziął myśl wystawienia tego posągu. Doskonały rzeźbiarz Eriksen sportretował jedną z najpiękniejszych tancerek baletu i umieścił posąg syreny na jednym z wynurzających się z morza głazów przy wybrzeżu Kopenhagi. Posąg ma tyle czaru i wdzięku, co sławna tancerka, która niegdyś ozdabiała park Skaryszewskiego w Warszawie. Nic więc dziwnego, że stał się jedną z głównych atrakcyj turystycznych Kopenhagi.

Wody Bałtyku podpływają pod głaz, na którym siedzi syrena, oblizują zimny kamień i cofają się nieśmiało. A syrena patrzy tęsknym wzrokiem w morze i wydaje się, że lada moment zsunie się z kamienia i zniknie w falach.

—Zupełnie jak nasza syrena w Warszawie — powiedział nagle mój towarzysz, żołnierz A.K.

—Nie smuć się syreno na wygnaniu — pomyślałem — przyjdzie dzień, gdy znów twoje miasto i cały nasz kraj powróci do nas.

Ale to tylko tak sobie pomyślałem, bo ta syrena jest przecież Dunką, i to tylko nasze opętanie, że wszędzie i zawsze myślimy o Polsce.

EUGENIUSZ ROMISZEWSKI

Syrena — rzeźba Eriksena na wybrzeżu Kopenhagi

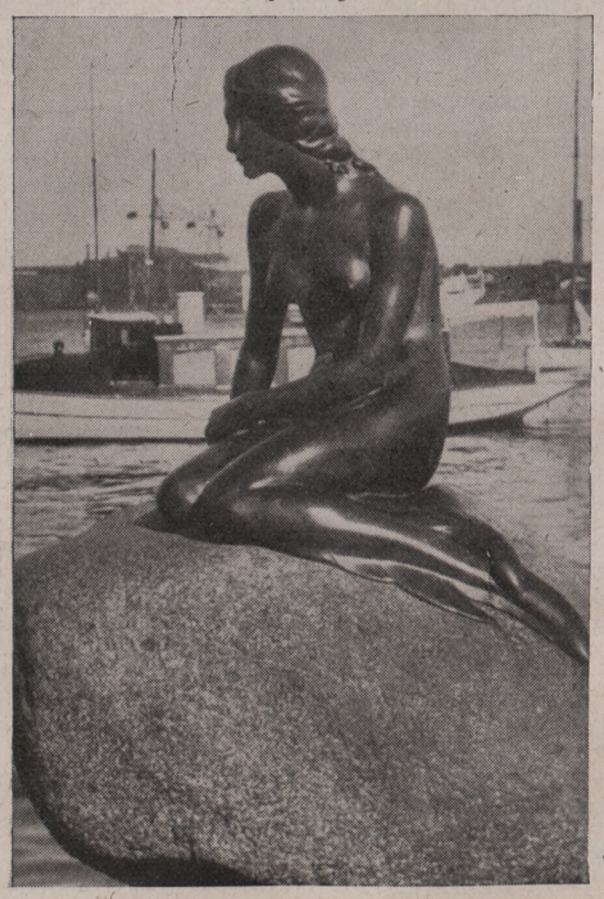

* Por. poprzednie części cyklu: "Na gruzach bezideowej wojny" w nr. 39 i art. "W poszukiwaniu żywych i umarłych" w nr. 41 "Polski Walczącej" z b.r. Niniejszy reportaż zamyka cykl.

Na Atlantyku

Już siódmy dzień na morzu. A to dopiero połowa drogi. Najgorszy dzień. Potem to już liczy się "z górki". Pogoda, jak zwykle, kiepska. Wleczemy się teoretycznie ośmioma węzłami. Praktycznie konwój wyciąga najwyżej siedem.

Dowódca z mechanikiem wyrachowali jakoś, że przejdziemy Atlantyk bez uzupełniania paliwa. Idziemy na jeden kocioł. Ekonomia. Wody słodkiej możesz dostać tylko na lekarstwo i na herbatę. Ogrzewanie na dzień zamykają. Ekonomia. W słonej wodzie nie chce się nikomu myć. Porosły nam brody i wąsiska. Dowódca tylko, jak zwykle, elegancki — podobno goli się w czarnej kawie.

Konwój duży, kilkadziesiąt statków. Osłona międzynarodowa. Brytyjczycy, Francuzi, Amerykanie i my.

Kiwa. Przeraźliwie nudno i markotno. Stoi się godzinami na pomoście, robi te same zygzaki, a przy zdaniu wachty koledze, pokazując punkt na mapie, która na tej szerokości jest kawałkiem czystego kartonu, mówi się: — "Jesteśmy tu, spokojnej wachty" — i do snu. Przedtem ewentualnie coś przełknąć /oczywiście znowu *corned beef*/. Ale nie bardzo można zasnąć. Zapada się właściwie w półczuwanie, w półsen . . .

. . . Budzi mnie ryk klaksonu "alarm z.o.p."* Lecę na pomost do dalocelownika. Na pokładzie ruch, obsługa pom-pom już obraca czterdziestką, działo "3" klaska zamkiem, torpedyści przy miotaczu bomb — do odpalenia — gotowi. Uwinęli się żywo chłopaki, czy też to ja tak mocno się zdrzemnąłem?

Na pomoście — obsada już w komplecie. Dowódca przed kompasem, Romek, jako oficer kontrolny ze słuchawkami na uszach, przy operatorze podsłuchowym. Sygnaliści szykują flagi. Drapię się do dalocelownika, sprawdzam łączność, melduję: — "Artyleria gotowa" i gapię się dokoła. Jestem tu "na wszelki wypadek" — gdyby "łódź" wyszła na powierzchnię.

Konwój jest już na zwrocie. Powiewają jakieś flagi. Komodor rozmawia reflektorem z dowódcą eskorty. Wszyscy dymią, gotując się na zwiększenie szybkości.

U nas na pomoście nabożne skupienie. Mamy kontakt. Romek równym głosem podaje namiary i odległości, dowódca daje komendy na ster. Po meldunku — "Odległość 1000 jardów" — słyszę komendę: — "200 obrotów". To nasze maksimum na jednym kotle. Nabieramy szybkości, trochę potrząsa, bo fala średniawa i: — "Uwaga na miotaczach, uwaga na wyrzutniach", za chwilę "p a l".

Patrzę na rufę. Z miotaczy wylatują nieforemne bomby z "łyżką". Z rufowych wyrzutni marynarze staczają za burtę baryłeczki ze stukilogramowym ładunkiem, jedna po drugiej — chlup, chlup. Po chwili lekki wstrząs — to wybuch, i tam gdzie wpadła bomba rodzi się gejzer, jeden, drugi, dziesiąty . . .

I już niestrudzony Romek melduje: "Kontakt za rufą", ale my odchodzimy, bo nasz sąsiad z lewej burty wali teraz do ataku. Zmniejszamy szybkość, aby mieć stale okręt podwodny w zasięgu aparatu podsłuchowego. Anglik już na pełnej szybkości. Flaga podniesiona do szczytu. Atakuje. Czujemy znowu wstrząsy. Za rufą Anglika wytryskują olbrzymie pióropusze wody. Teraz znowu nasza kolejka. Robimy zwrot, kładziemy się na kurs ataku i "plastrujemy" pozycję "U-bota" bombami.

—"Oliwa, oliwa!" — wrzeszczy sygnalista. Wychylam się z dalocelownika, aby zobaczyć plamę. Istotnie widać złotawo-fioletowe smugi, w jednym nawet miejscu zupełnie czarna kałuża. Nie wiadomo czy to jego, czy to nasza ropa. Kontakt mamy stale, więc okręt podwodny jest może uszkodzony.

Teraz znowuż jak w mazurze — druga para tańczy. Anglik rzuca bomby.

Tańczyliśmy tego mazura przez dwie godziny. Konwój zniknął nam z oczu. Zaczęło robić się szaro, straciliśmy kontakt z okrętem podw. Nie wiadomo czy zatonął czy umknął — uszkodzony lub cały. Trzeba było wracać do konwoju. Gdy dołączyliśmy było już zupełnie ciemno.

Z trudnością znaleźliśmy "swoje" miejsce w osłonie, która już zdążyła przegrupować się na szyk nocny i zapadliśmy w beznadziejne zygzako-kołysania. Podniecenie alarmem już minęło. Gdyby choć mieć pewność, że był skuteczny.

Stoję znowu na wachcie i "zamiatam" lornetką horyzont. Idziemy na prawym skrzydle osłony. Konwoju nie widać. Sylwetka naszego sąsiada w lewo rysuje się ledwo, ledwo. Staram trzymać się od niego w stałej odległości i namiarze. On sobie reguluje od następnego i tak całość trzyma się jako tako "kupy".

Jest ciemno, niebo pochmurne, gwiazd nie ma, księżyc jeśli wzejdzie to gdzieś dopiero koło północy. Na okręcie cisza. Od czasu do czasu zagwarzą między sobą sygnaliści, lub fala zachlapie mocniej o dziób.

—"Lewo pięćdziesiąt flara" — krzyczy ktoś z dołu. Odwracam się w lewo. Niebieska raca wali świecą w górę. — Coś się zaczyna — pomyślałem i przez tubę głosową do kabiny nawigacyjnej: — "Panie komandorze, lewo pięćdziesiąt flara" . . .

Gdzieś tam, z lewej strony konwoju czerwone koraliki pocisków smugowych sypią się w noc. Pewnie okręt podwodny na powierzchni. Nagle olbrzymi wybłysk oświetlił na chwilę pół horyzontu. Potem wybuch, właściwie dwa: jeden silniejszy, głęboki, drugi jakby echo tamtego — słabszy. Potem znowu cisza — tylko gdzieś w środku konwoju płonący wrak.

Ktoś z eskorty rozpoczął strzelanie pociskami oświetlającymi. Widać błyski i gwiazdy opadające na spadochronach, słychać głuche odgłosy wystrzałów. Dowódca zarządził alarm bojowy. Gramolę się znowu do dalocelownika i melduję: — "Artyleria gotowa".

Z drugiej strony konwoju rozpoczęła się prawdziwa kanonada. Jeszcze się postrzelają — myślę — w nocy o to nie trudno.

Na naszym skrzydle spokój. — "Wzmocnić obserwację, wzmocnić obserwację" — słyszę głos dowódcy. I znowuż kątem oka widzę olbrzymi wybłysk i po chwili czujemy wstrząs — to drugi trafiony. Cały szereg podwodnych wstrząsów — ktoś rzuca bomby głębinowe.

Przestali oświetlać. Robi się ciemno. Znowu seria podwodnych wybuchów. Robimy zwrot na kontrakurs. Sąsiad z lewej zawraca z nami. — "Oświetlenie gotowe?" — pyta dowódca. — "Gotowe" — odkrzykuję podnieconym głosem. Czyżbyśmy mieli kontakt?

Ale robimy tylko "sweep" i wracamy na pozycję. Koło palących się wraków kręci się korweta, podbierając rozbitków. Ktoś tam daleko od nas w lewo znowu zaczął oświetlać.

Pościg za korsarzem trwa. Konwój płynie dalej. Reszta nocy mija spokojnie.

Pospołu z drugim artylerzystą na zmianę spędziliśmy noc w dalocelowniku. Nad ranem zaczęło siąpić, fala zwiększać się, widoczność zmniejszać, barometr spadać, a załoga kląć, bo na jakimś nieprzychylnym zygzaku kocioł z kawą zleciał na pokład — kawa oczywiście chlusnęła za burtę.

Zziębnięty i połamany z trudnością wydostałem się z dalocelownika i powlokłem się do mesy, aby dostać gorącej herbaty i jakiegoś suchara. Mechanik przywitał mnie poważną miną. Coś skraplacz nawala i trzeba zaślepić kilka rurek w kotle. Nieszczęścia chodzą w parze. Patrzymy mimowoli na kalendarz. Nic dziwnego. Trzynasty luty!

Około południa otrzymaliśmy rozkaz odejścia od konwoju i udania się 15 mil na wschód. Jeden z eskorterów — amerykański *sloop* — po nocnym ataku na konwój ścigał okręt podwodny i gdzieś nad ranem wreszcie dopadł go i staranował, przytem jednak ciężko się uszkodził i trzeba go eskortować. Dowódca był mocno niezadowolony i coś tam narzekał na temat ekonomii, zapasu paliwa i promienia działania. Ale trudno — trzeba było od konwoju odłączyć i nawet zwiększyć szybkość.

Sloop przedstawiał widok godny pożałowania. Dziób zgnieciony, burta na długości kilku metrów rozdarta, cały mocno przechylony. Załoga na pokładzie i nadbudówkach wyrzuca za burtę zbędne przedmioty, aby "ulżyć" okrętowi i w ten sposób poprawić jego stateczność. Machają ku nam rękoma

i powiewają czapkami.

Podchodzimy bliżej. *Sloop* stoi bokiem do fali i bezradnie przewala się z burty na burtę. Dowódca ranny, ale na pomoście. Kieruje osobiście akcją ratunkową. Przez głośniki odbywa z naszym dowódcą naradę.

Sytuacja jest poważna. Maszynownia zalana wodą. Wszystkie prądnice nieczynne, zatkać dziur środkami okrętowymi się nie udało. Jeśli pogoda pogorszy się, okręt może zatonąć. Decydują się na przetransportowanie części załogi na nasz okręt. Tylko jak? Dobicie do *sloopa* bokiem do fali, przy takiej pogodzie szalenie ryzykowne. Można jego wykończyć, a siebie poważnie uszkodzić. Jedynie co zostaje to użyć *sloopowego* kutra.

Udaje się go szczęśliwie spuścić na wodę i zaczyna się przewóz ludzi ze *sloopa* na nasz pokład. O przeszło 100 ludzi wzrasta nam załoga. Rozmieszczamy ich jak można. Częstujemy kawą, sucharami — czym chata bogata. Oni odwdzięczają się papierosami i gumą do żucia — co kraj to obyczaj.

Resztę dnia i całą noc kręcimy się koło Amerykanina, przedstawiającego teraz łatwy łup dla "U-boatów". Noc mija spokojnie. Stado wilków poszło za konwojem i nikt nie próbował dorzynać ofiary. Pogoda też nie popsuła się na szczęście. Ranek powitaliśmy obupólnym *cheerio* . . .

Przyszła wiadomość, że holownik już w drodze a na stróżowaniu zmienia nas korweta. Konwój w nocy był znowu atakowany. Prawdopodobnie zatopiono dwa okręty podwodne. — "Znowu nas tam nie było" — martwi się zastępca. Ale zmartwienie, jak nakarmić i rozmieścić stu Amerykanów jest chyba większe.

Przed obiadem luzuje nas korweta. Wymieniamy ze *sloopem* pożegnalne sygnały i walimy do konwoju. — "Ile to ropy spaliło się na marne" — mruczy mechanik dotykając zimnego kaloryfera.

Konwój dopędziliśmy w nocy, właściwie już nad ranem, gdzieś koło 3-ej. Zdaleka widzieliśmy błyski strzałów i kolorowe paciorki pocisków smugowych. Konwój był znowu atakowany. Trzecią noc z rzędu. Kiedy dołączyliśmy — pobojowisko oświetlała łuna dwu palących się statków. Przy wrakach kręciła się korweta. Dowódca eskorty coś tam morsował w naszą stronę.

Nasz dowódca wezwał lekarza na pomost. — "Doktorze, otrzymałem rozkaz dostarczenia pana na francuską korwetę. Mają kilkunastu rannych, rozbitków ze statków i okrętów podwodnych. Lekarza tam nie ma. Gotuj się Pan do drogi. Dzisiaj pański dzień, a właściwie noc" — zakończył dowódca.

Idziemy do korwety. Dowódca stoi przed problemem — w jaki sposób dostarczyć tam lekarza? Dobić — nie sposób. Ciemno, fala, korweta dwa razy krótsza od nas. Dobicie jej do nas też bardzo ryzykowne. Po zatrzymaniu maszyn staniemy zaraz bokiem do fali — małe przeliczenie się w manewrze i fala rzuci korwetę na nas. Spuścić łódź przy takiej pogodzie — wykluczone. Nim odczepią kluby, fala ją roztrzaska . . .

Lekarz w ceratowym płaszczu z walizeczką, "jak do chorego", zjawił się na pomoście — "Gotowe, panie komandorze" — zameldował. — "Panie, ja się tu głowię jak Pana dostarczyć . . . chyba wpław . . ." — "Tak jest, panie komandorze" — bohatersko odparł doktór — "ale możeby spróbować na tratwie ratunkowej?" — "Doskonała myśl, nie będzie się Pan bał?" Lekarz chrząkaniem tylko manifestował swą odwagę i żal . . . Kiedy wreszcie zaczną go uważać za stuprocentowego marynarza?

Dowódca przywołał zastępcę i wyjaśnił mu "ideę manewru". Nadano sygnał na korwetę. Doktór uroczyście nakładał duży korkowy pas. Miał minę, jakby żałował, że nie może się sfotografować.

Ustawiliśmy się przed korwetą na wietrze /od strony wiatru/. Zatrzymano bieg maszyn. Tratwę rzucono na wodę. Doktór po siatce zsunął się do środka. Walizeczka na rzutce za nim.

—"Odbij" — Doktór dziarsko chwycił za wiosła, ale ani rusz! Fala narzuca tratwę na okręt. Doktór męczy się. Kibicuje mu wolna od wachty część załogi. Doktór zdobywa dyplom kapitana żeglugi pełnego oceanu. Ale odbić nie może. Dowódca zdecydował odbić od niego. Odchodzimy wstecz. Rzucana z fali na falę tratwa zostaje sama. Doktór przestaje wiosłować. Miga światłem latarki. Korweta podchodzi do tratwy. Szczęśliwie podnoszą go na pokład . . .

Zastał tam międzynarodowe towarzystwo: Francuzi, Norwegowie i Niemcy. Został na korwecie do końca podróży.

Ze świtem przyleciały "Cataliny" już z baz amerykańskich. Poczuliśmy się raźniej. — Za cztery dni będziemy w Kanadzie: może jeszcze dostanę "nylony" . . . Życie nawet na środku Atlantyku nie jest takie nudne. Posiada swoje nadzieje, marzenia . . .

LEOPOLD MILANOWSKI

* Zwalczanie okrętów podwodnych.

Hanka, Kasia, Krystyna

(Korespondencja własna "Polski Walczącej")

Hanka ma oczy koloru khaki i ciemne włosy. Jest ładna, nawet bardzo ładna. Leży właśnie opalona, miedziana, nad basenem kąpielowym, zarezerwowanym w niemieckim uzdrowisku wyłącznie dla Amerykanów. Amerykanie szaleją jak dzieci. Skaczą z trampoliny, fikają koziołki i co chwila któryś z nich zaczepia Hankę.

—*Jump*, Hanka! — wołają. A potem po polsku: — dobrze, Hanka, co?

Hanka nie mówi jeszcze ani słowa po angielsku, ale z Amerykanami znalazła już jakiś wspólny język, który szczególnie łatwo zawsze jest znaleźć przystojnej kobiecie. Zresztą zna ich wszystkich, bo Hanka pracuje u Amerykanów, podobnie jak Kasia i Krystyna.

Gdy tylko jakiś Amerykanin staje się zbyt natarczywy Hanka odprawia go szybko:

—Odczep się — mówi — rozumiesz? — I Amerykanin rozumie.

Gdy patrzę na nią trudno mi uwierzyć, że ta leniwie leżąca na słońcu dziewczyna, stworzona jak gdyby wyłącznie tylko do uwodzenia serc męskich — jest oficerem Armii Krajowej, że była w Warszawie jedną z najzdolniejszych łączniczek, że przeszła wreszcie całe Powstanie Warszawskie siedząc na dachu siedmiopiętrowej kamienicy jako obserwator ogniowy. Kamienicę potem wzięli diabli, ale Hanka jakoś jest.

—Skąd — pytam — masz kostium kąpielowy? — Mówię do Hanki "ty", bo jej zdaniem to bardzo głupio rozmawiać dziś na "Pan" i "Pani".

—Kostium ? — Hanka otwiera oczy. — Zabrałam z Warszawy . . . Uważałam, że nie powinno się wyjeżdżać zagranicę bez kostiumu kąpielowego . . .

"Zagranicę!" — Hanka to mówi takim głosem, jakby kupiła sobie przed rokiem bilet do Aix les Bains, a nie została wywieziona do obozu jeńców.

—To jednak — pytam — liczyłaś na to, że wydostaniesz się prędzej czy później z obozu?

—Byłam pewna — ożywia się Hanka. — Zrozum, człowieku, że gdybym ja, gdybyśmy my wszystkie nie miały tej wiary, że się jakoś wykaraskamy ze wszystkich kłopotów — to przecież nie można by było pracować w Warszawie! Przecież ja nigdy nie chodziłam po Warszawie inaczej, jak zawsze z jakimś materiałem, zawsze z jakąś bibułą! Tylko pewność, że dam sobie radę, że się wykaraskam, że wydostanę się z łapanek — dawała mi możność pracy. Wiedziałam dobrze, że jak mnie złapią — to rozwalą odrazu!

Nareszcie Hanka rozgadała się. Siada, obejmuje rękami kolana — i zaczyna opowiadać:

—Widzisz, ja byłam zawsze elegancką kobietą. Czasami chodziłam tak wystrojona po Warszawie, że niejedna Polka dałaby głowę, że się puszczam z Niemcami. Ale właśnie ta elegancja, uszminkowane usta, ładne nogi . . . no-bo przecież mam ładne nogi, nie? — to było moje *passe-partout*. Trzeba było iść jak gdyby nigdy nic. Mało to razy myślisz Niemiec potrzymał mi walizeczkę, za którą odrazu groziła kulka? Jak tylko widziałam, że któryś zaczyna patrzeć na mnie podejrzliwie — zaraz podchodziłam do niego i pytałam o jakieś informacje, o godzinę policyjną, o dancing, co się zdarzyło. Dzięki temu dziesiątki razy udało mi się uniknąć rewizji osobistej.

Raz już wszystko było na włosku. Niosłam właśnie archiwum do pewnej meliny, a tu akurat w tym domu Gestapo robiło porządek na jakimś piętrze. Przed drzwiami stał Gestapowiec i zanim się zorientowałam — zatrzymał mnie. A ja pod paskiem od podwiązek miałam stare depesze z Londynu, kopie naszych raportów i tak dalej . . . Zatrzymał mnie i dawaj robić rewizję osobistą. Rozchylił płaszcz i zaczął mnie obmacywać od góry. Myślę sobie że źle, bo zaraz dojdzie do paska. No i zaczęłam się śmiać. Ale tak na cały głos, do rozpuku. To facet się zdziwił i przestał na chwilę. — Co się stało? — pyta. — Czego pani się śmieje? — A ja mu na to: — Bo się strasznie boję łaskotek. A pan mnie łaskocze. — No to on też w śmiech. I tak śmiejemy się razem. I dał spokój, drań. Już mnie nie ruszał.

—A czy nigdy nie wpadłaś? — pytam dalej.

—Wpadłam raz. Ale nie bezpośrednio. To była inna sprawa i w związku z tym mnie aresztowali. No i na Pawiak . . .

—A tam?

—Zobacz moje plecy — mówi Hanka i obraca się plecami do słońca. Rzeczywiście — na brązowej skórze kilka białych szram przez całą szerokość pleców.

—To mnie tak urządzili na przywitanie. Pejczem, z ołowianą gałką na końcu przez plecy. Pękł płaszcz, sukienka — aż do krwi. Po drugim takim uderzeniu myślałam, że zacznę wyć. Ale przy trzecim już zacięłam zęby. A potem jakoś osłabłam, kolana zrobiły się miękkie i przestało boleć, a raczej ból stał się znośny. Na otrzeźwienie wsadzili mnie potem do lochu, gdzie było po pas wody. Tam trzymali mnie przez dwanaście godzin. A potem nagle zabrali, obmyli plecy, kawa, papieros — i na badania limuzyną na Aleję Szucha . . . A potem jeszcze kilka razy pejczem . . . Przeszło — Hanka zmienia ton — chcesz papierosa?

Długo jeszcze rozmawiam z Hanką nad basenem, wśród śmiechu Amerykanów. Warszawa, Powstanie, obóz jeniecki — i wreszcie, wreszcie łóżko, pokój w pięknej willi, kwiaty na stole, praca, przyjaźń dobrych ludzi. To wszystko, co jeszcze przed rokiem należało do pięknej krainy bajek.

—A co ty sobie myślisz teraz o mnie? — pyta Hanka z kolei. — Jak ci się zdaje, co — puszczam się z Amerykanami?

—Widzisz — mowię — pytanie jest nieco żenujące i w ogóle nie zamierzam cię o to pytać. To bardzo prywatna sprawa . . .

—Nie gadaj. U nas nie było żenujących pytań i prywatnych spraw. Kawę na ławę. Ilu, myślisz, mam kochanków?

—Tak sobie myślę, że masz tam kogoś . . . musisz chyba mieć.

—O Boże, jaki zawstydzony — śmieje się Hanka. — O Boże . . . !

I potem śmieje się długo, nie wiem dlaczego, cudownie się śmieje, aby spoważnieć po chwili, objąć ponownie kolana rękami i szeptem już raczej powiedzieć:

—Od wybuchu Powstania w Warszawie nie należałam do nikogo. Rozumiesz — do nikogo.

Nie rozumiem i nie chcę już pytać o ten smutek, który nagle spada cieniem na śliczne oczy Hanki — oczy koloru khaki.

* * *

A Kasia to trzpiot. Prześliczny, osiemnastoletni trzpiot, z rozwianą blond-czupryną. Czego to dziecko nie przeszło! Łączniczka, która jak myszka przemykała się przez wszystkie łapanki, żołnierz Armii Krajowej z barykad Warszawy z baretką Krzyża Walecznych na *battle-dressie*.

Teraz się śmieje cudownie, po dziecinnemu, śmieje się ze wszystkiego i za wszystkie lata, spędzone bez uśmiechu. Ten dziewczęcy podporucznik, który gdy wojna wybuchła liczył sobie dwanaście lat — odnajduje wreszcie młodość, która nagle kiedyś odeszła i kazała myśleć dziecku o bardzo poważnych sprawach życia, wojny i konspiracji.

Kasia mówi po angielsku i jest czymś w rodzaju Shirley Temple u Amerykanów, którzy spoglądają na nią z uwielbieniem w oczach. Kasia zdaje sobie sprawę z tego uwielbienia i wodzi wszystkich oficerów za nos. Nic sobie nie robi z nikogo — bo podbiła serca wszystkich, od poważnego pułkownika począwszy, a na *barmanie* w kasynie oficerskim skończywszy.

—Poznałam już Amerykanów — mówi. — Dzielę ich na trzy kategorie. Jedni to realiści, którzy pierwszego wieczora po poznaniu proponują romans. Drudzy to niezdecydowani — proponują na drugi dzień. Ostatni wreszcie gatunek — to sentymentalni. Kupują kwiaty i dopiero na trzeci dzień proponują to samo co pierwsi.

Z Kasią, niestety, nie można mówić o Warszawie.

—Ależ Rysiek — to naprawdę było bardzo zwykłe! No bo przecież jeżeli jedni atakowali, to drudzy musieli się bronić. Przecież wszyscy byliśmy przekonani, że jak nas wezmą — to koniec i kropka. No więc rzucił ktoś butelkę z benzyną na czołg, ale to było jasne, że trzeba rzucić. Bo jak nie ty po nim — to on po tobie! Ja nie wiem, może to wszystko razem z daleka wygląda inaczej — ale ja zupełnie nie czułam się bohatersko . . . ! Jedno wiem, że nie czułam strachu, no bo po prostu wydawało mi się, że to rzecz niemożliwa umrzeć. Nie bałam się. We mnie tyle jest życia, że ja nie mogę sobie nawet wyobrazić słowa "śmierć". Może to przyjdzie potem. Widziałam jak ludzie umierali, ale nigdy nie łączyłam ich śmierci z moją śmiercią. Nie gniewaj się, Rysiek, ale ja nie potrafię opowiedzieć ci nic wielkiego. Napijmy się lepiej koniaku z szampanem, bo to lepiej idzie do głowy. To ja wymyśliłam taki *coctail* i wszyscy Amerykanie zalewają się od tego w drobny mak. W pańskie ręce perswaduję, panie szanowny . . .

—Chryste Panie, dziewczyno, kto tak pije . . .

—Jak szewc, chciałeś powiedzieć? Niech będzie jak szewc. Ale ja tak lubię jednym łykiem. To zresztą na twoją cześć — gość w dom — z wielkiego miasta można powiedzieć. Ale ponieważ nie wyglądasz na Lorda i nie masz wykwintnych manier — możem się napić po drugim szampanie, ale tym razem z podwójnym koniakiem. Cha, cha, cha . . . ! *George*! *Give me, please* . . .

—Nie bądź tylko zgorszony — śmieje się ciągle Kasia — ja nie jestem upadła owca! Ale czasem sobie lubię wypić i powiedzieć jakieś brzydkie słowo . . . To mi zostało z wojny. Powiedz jakieś brzydkie słowo, błagam cię, zaklinam — powiedz!

—No, niech ci będzie . . .

—To rozumiem. Dobrze, że mnie te wasze londyńskie Polki nie widzą. To pewnie lepsze towarzystwo. Ja sobie wyobrażam . . .

—Nie jest tak źle, jak myślisz — bronię Londynu. — Zdarza się . . .

—Jak pojadę uczyć się do Cambridge — mówi Kasia — bo mam taki zamiar, to też się chyba rozeschnę . . . Tyle tego, co teraz wypijem! Źle z nami, panie radco . . . !

—Kasiu . . .

—Tylko mi się nie oświadczaj.

—Wykluczone. Nie mógłbym żyć z kobietą, która może mnie przepić . . .

—No to czego się tak cieszysz?

—Cieszę się cholernie, że się taka dziewczyna jak ty może śmiać dzisiaj i że nic jej chyba w tej chwili do szczęścia nie brakuje . . . !

—O, nie — mówi Kasia. — Brakuje mi.

—Czego na przykład?

—Wyfasowałam zielone m . . . i noszę zielone, jak A.T.S. To straszne! M . . . mi brakuje, przyzwoitych, ludzkich! Mogę to powiedzieć, bo i tak tu nigdzie nie kupisz. Trzeba było być mądrym i przywieźć z Londynu. Eh, wy nigdy nic nie wiecie! Zdrowie pana radcy!

* * *

Krystynę znam jeszcze z Warszawy. Ambitna, dumna, rasowa — przyciąga wzrok swoją oryginalną urodą. Wiem przecież, że nigdy niczego nie brakowało jej przed wojną, że nie pracowała, że była jedną z tych pań, które mogły sobie pozwolić na wszelkie kaprysy i zachcianki.

Minione lata wojny przeistaczają ludzi. I Krystyna też jest inna. Bo wojna była twardą próbą jej charakteru. Krystyna nie wahała się przed wyborem dróg, którymi iść powinna. Od początku w konspiracji — bardzo wcześnie przeszła przez Pawiak, gdzie spędziła rok. Potem znowu konspiracja, A.K., Powstanie na Starym Mieście, Ravensbrueck, ucieczka i wreszcie wolność.

Nie, Krystyna nie jest złamana, ani przygnębiona. W niej też jest dużo radości i przeogromna chęć życia. Tylko Krystyna nie umie cieszyć się wybuchowo. Ale cieszą się jej oczy, kiedy mówi o tym, że jest jeszcze młoda i że nie skończyła jeszcze trzydziestu lat. Cieszą się jej ręce, kiedy dotyka kwiatów, które nieustannie przysyłają Amerykanie.

Krystyna mówi cichym, melodyjnym głosem i raczej oczami akcentuje swoje słowa, lub nieznacznym, nerwowym ruchem pięknych rąk. Z jej długiego opowiadania, z wielogodzinnej opowieści o tym co było — szczególnie uderza swoim dramatyzmem kilka fragmentów.

Na Pawiaku Krystyna za wszelką cenę chciała zobaczyć męża, którego aresztowano razem z nią. To było bardzo trudne, ale na szczęście Krystyna dostała pracę posługaczki w szpitalu więziennym. I tam dotarł do niej gryps od męża, że może ją zobaczyć "na śmietniku".

Śmietnik był miejscem, gdzie wynoszono kubły. I Krystyna pod nadzorem strażnika wynosiła te kubły, bez przerwy, bez potrzeby nieraz — w tej nadziei, że mąż na nią patrzy z jakiegoś okna. Starała się iść najwolniej i ukradkiem rozglądała się po zakratowanych oknach, czy przypadkiem nie dojrzy gdzieś twarzy męża. Niestety, okien było dużo, a strażnik nie pozwalał stanąć nawet na chwilę.

—Ale czułam — mówi Krystyna — czułam, że Kazik mnie widzi!

I oto pewnego dnia, kiedy raz jeszcze zwątpiła, że zobaczy męża — gdzieś w górze rozległ się nabrzmiały rozpaczą okrzyk:

—Krystynaaa!

Na trzecim piętrze, za kratą — stał mąż, Kazik.

—To był dla mnie — mówi Krystyna — najszczęśliwszy dzień mego życia.

A potem Krystyna opowiada mi o oknie. O oknie w jej własnym domu, kiedy wróciła z więzienia. O oknie, w którym nie było krat.

—Otwierałam okno — mówi — wyglądałam przez nie, ciągle podchodziłam do okna. Ty nie wiesz, Ryszard, co to za cudowna rzecz okno . . .

W tym momencie Krystyna znowu podchodzi do okna, wygląda przez nie, a potem stawia na nim kwiaty. Na oknie bez krat.

Ślicznie opowiada Krystyna. Opowiada o tym dniu, kiedy po ucieczce z Ravensbrueck pracowała u *baurea* niemieckiego przy trzodzie chlewnej w gnoju i na polu. I tam, przy pracy dowiedziała się, że drogą, drogą o kilka kilometrów od farmy — idą czołgi amerykańskie! Rzuciła widły i biegła przez pola, nieprzytomna, pijana szczęściem, ażeby krzyknąć: — *Good luck, boys*!

—I wiesz co się stało? Cała kolumna czołgów stanęła. Wciągnięto mnie na czołg, obsypano cukierkami i czekoladą, witano, pytano . . . Niosłam potem całą spódniczkę cukierków i czekolady, wracałam na przełaj polami . . . i płakałam.

" . . . i płakałam" — Krystyna mówi to takim bezradnym, dziecinnym głosem, że całuję jej ręce, nie mogąc ukryć mego wzruszenia.

A potem — idziemy razem z Krystyną do Hanki i Kasi. Jest noc, kwiaty szaleją za oknem, jest lato, a z nieba płynie granatowa cisza.

Hanka, Kasia i Krystyna śpiewają. Śpiewają piosenki Armii Krajowej, których nie znałem i nie słyszałem. Śpiewają — i są już bardzo poważne. Nawet Kasia.

". . . Ponad białymi sadami,
Lotnicy lecą trójkami,
Przeleciał lotnik nad gruszką —
Nasypał gwiazdek
w serduszko . . ."

* * *

Hanko, Kasiu, Krystyno — najcudowniejsze dziewczęta, jakie spotkałem w życiu! To wy nasypałyście gwiazd w moje serce, jak wam sypali polscy lotnicy nad polską ziemią.

Gdybym był Amerykaninem — posłałbym dziś każdej z Was bukiet czerwonych róż. Ale kwiatami za takie spotkania trudno jest płacić. Zresztą — nie brak wam dzisiaj kwiatów.

Dlatego piszę o was. Piszę, aby dołączyć te moje słowa do wszystkich bukietów, które są w waszych pokojach w białej willi, w willi z dużymi oknami, na których nie ma krat.

RYSZARD KIERSNOWSKI

Osiedle "Spadochronowo" w Niemczech

Polska ludność wysiedleńcza osadzona pod Emmerich postanowiła nadać swemu osiedlu nazwę "Spadochronowo" na cześć Polskiej Brygady Spadochronowej
Reprodukujemy uroczysty akt przyjęcia tej nazwy

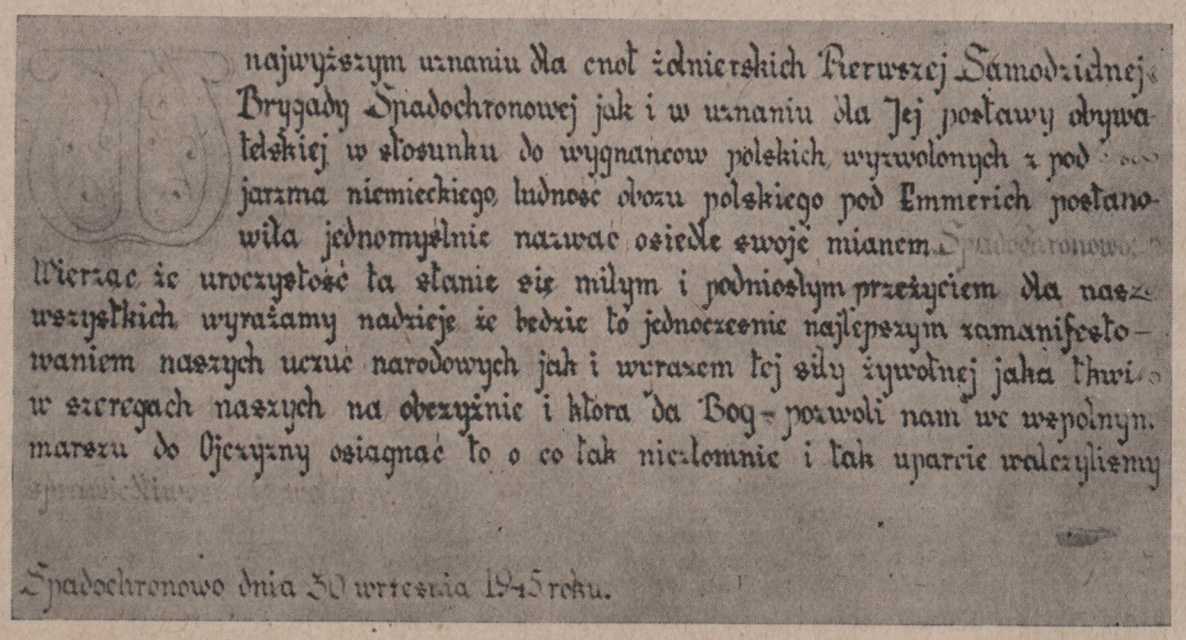

W najwyższym uznaniu dla cnot żołnierskich Pierwszej Samodzielnej Brygady Spadochronowej jak i w uznaniu dla Jej postawy obywatelskiej w stosunku do wygnańców polskich wyzwolonych z pod jarzma niemieckiego ludność obozu polskiego pod Emmerich postanowiła jednomyślnie nazwać osiedle swoje mianem Spadochronowo.

Wierząc że uroczystość ta stanie się miłym i podniosłym przeżyciem dla nas wszystkich wyrażamy nadzieję że będzie to jednocześnie najlepszym zamanifestowaniem naszych uczuć narodowych jak i wyrazem tej siły żywotnej jaka tkwi w szeregach naszych na obczyźnie i która da Bog - pozwoli nam we wspólnym marszu do Ojczyzny osiągnąć to o co tak niezłomnie i tak uparcie walczyliśmy

Spadochronowo dnia 30 września 1945 roku.

TOWARZYSZ BRONI

Województwo Śląskie

Przypomnijmy sobie szczegóły dotyczące województwa Śląskiego. Objęło ono po tamtej wojnie światowej, po powstaniach i plebiscytach zaledwie część Górnego Śląska. Dołączono doń przyznane Polsce powiaty dawnego Księstwa Cieszyńskiego. Daleko w głąb, poza granicami województwa — od wieków żyła setkami tysięcy zasiedlona ludność polska. I skoro mamy słuszne prawo domagania się wszystkich na zachodzie ziem, na których żyje lud polski, to nie za cenę utraty na wschodzie takich samych ziem, z niemniej odwiecznie zasiedloną na nich ludnością polską.

Województwo Śląskie jest jednym z najgęściej zaludnionych województw Rzeczypospolitej. Wskazują na to miasta: Katowice liczyły przed wojną 126,000 mieszkańców, Chorzów 102,000 mieszkańców, Siemianowice 37,800, Rybnik 23,000, Mysłowice 22,700, Bielsko 22,300.

Ziemia niemczona od stuleci — zachowała po dnie nasze ogień żarliwej polskości. Sześć wieków trwał Śląsk poza związkiem państwowym z Polską. A jednak, kiedy przed wybuchem pierwszej wojny światowej, w roku 1910, Niemcy przeprowadzili powszechny spis ludności — wówczas Śląsk procentowo okazał się bardziej polskim, niż na przykład ziemie Poznańskiego, będące krócej pod zaborem. A jednak — zaledwie niewielka część prastarej Ziemi Śląskiej wróciła do Ojczyzny, odbywszy plebiscyt i stoczywszy walki orężne.

Śląsk jest nie tylko jedną z najgęściej zaludnionych ziem Polski. Bogactwa, które ta ziemia zawiera — stawiają Śląsk w rzędzie najbogatszych części Polski.

W południowej swojej stronie Śląsk nazywa się — Zielony. Pełno tu lasów, wzniesień i gór. Są to rolnicze ziemie Cieszyńskiego i Pszczyńskiego. Stare tutejsze miasteczka dobrze pamiętają czasy minione. W powiecie Pszczyńskim zachowały się resztki puszczy, w której znajduje się jeden z nielicznych w Europie rezerwatów żubrów.

Najcenniejszą częścią województwa — jest Śląsk Czarny. Dymią nad nim kominy hut i fabryk, skrzypią wyciągi kopalniane, przetaczają się ładowne pociągi. Ludzie śpieszą z pracy i do pracy. Są tu bogate złoża węgla, rudy żelaza i cynku. Mineralne te zasoby przyczyniły się do wielkiego rozwoju sąsiednich okolic.

Jak potrzebny był Śląsk dla polskiego organizmu państwowego, wskazuje przykład rozwoju Katowic. Kiedy po tamtej wojnie Polska wróciła na Śląsk — Katowice liczyły 50,000 mieszkańców. Porównajcie to z półtora razy zwiększonym stanem w chwili wybuchu wojny.

Na Śląsku miasto przylega do miasta. Osada do osady. Wszystko jest powiązane mnóstwem dróg. Linie tramwajowe i autobusowe łączą bezpośrednio poszczególne części Śląska. Niektóre miasta przyjęły nazwy od zakładów przemysłowych, wyrosłych w ich pobliżu. Jest więc Huta Pokój, Huta Zgoda.

Katowice zachodzą na Chorzów, który jako wielkie przemysłowe miasto powstał z połączenia Królewskiej Huty i Chorzowa. W tym ostatnim mieściła się jedna z dwu istniejących w Polsce fabryk związków azotowych, dostarczając rolnikom najbardziej wartościowego nawozu sztucznego. Chorzów również posiada największą śląską elektrownię.

W ogólnej gospodarce Polski — województwo Śląskie zaopatrywało Kraj w żelazo i stal. W węgiel najwyższych kalorycznie gatunków. W wyroby cynkowe, w przetwory kwasu siarkowego, i wymienione uprzednio azotniaki jako nawozy sztuczne.

Piękna i od stuleci, stuleci żyjąca polskością ziemia — tętni pracą. Ziemne zasoby, śląska pracowitość i skrzętność są źródłem mocy Polski.

O Marynarce Handlowej

Omawialiśmy na tym miejscu swego czasu Marynarkę Wojenną R.P. Mówiliśmy o jej wspaniałych osiągnięciach, o jej nieprzerwanej bojowej służbie pod banderą Rzeczypospolitej na wszystkich morzach i oceanach świata. Marynarka Wojenna R.P. dobrze się zasłużyła Ojczyźnie. Niemniej dzielnie i z samozaparciem pracowała w czasie wojny Polska Marynarka Handlowa.

Wiecie doskonale, co oznacza w nowoczesnej wojnie zaopatrzenie. Żołnierz idzie do natarcia lub też organizuje obronę. Ktoś musi mu dostarczyć amunicji, środków pędnych, pożywienia. Gdy zaopatrzenie zawiedzie — daremny staje się ów, chociażby najwydatniejszy, trud i mozół żołnierski.

Wojna stała się wojną wielkich obszarów, narodów i społeczeństw. W pierwszej linii walczył żołnierz, lotnik, załoga okrętu wojennego. W kraju — na zapleczu — funkcjonowały fabryki. Bez pracy fabryk działania bojowe tamtych byłyby nie do pomyślenia.

Kto starał się, ażeby fabryki miały odpowiednie zapasy surowca? Ażeby na pole walki mogła dojść na czas i amunicja, i benzyna, i żywność? Marynarka Handlowa. Gdy ze składów zaopatrzeniowych na kontynencie rozjeżdżają się naładowane kolumny zaopatrzeniowe — są one tylko wysuniętymi naprzód czołówkami transportu, w którym główny udział bierze Marynarka Handlowa.

Znacie zapewne z opowiadań dramatyczne przygody konwojów na Atlantyku? Ważyło się wówczas zwycięstwo sprzymierzonych. Toczyła się na rozległych obszarach wodnych zażarta bitwa o Atlantyk. W niej — żołnierzami pierwszej linii były statki oraz załogi Marynarki Handlowej.

Pustkowia Atlantyku mogłyby niejedno opowiedzieć. A przede wszystkim — mówić o nieprzerwanym i bohaterskim wysiłku Marynarki Handlowej, dowożącej zaopatrzenie dla Wysp Brytyjskich, by tutaj mogły się odbywać jak należy przygotowania wojenne.

Nieprzyjaciel zdawał sobie sprawę, że należy, o ile możności, uszkodzić szlaki komunikacyjne. Stąd tak długo trwające zmagania o przewagę na oceanie pomiędzy nieprzyjacielem a sprzymierzonymi. Stąd również podstępne czyhanie na statki Marynarki Handlowej i zatapianie ich.

W miarę, jak wojna stawała się bardziej zaciekła, im bardziej wszystko stawiano na kartę — tym mocniej uderzano ze strony Niemców w dowóz morski sprzymierzonych. Ginęły okręty wojenne, konwojujące transporty zaopatrzeniowe. Umierali w morskim boju marynarze z obsługi zarówno konwojujących, jak i konwojowanych. Jedną z najbardziej wysokich cen, jakie w konwoju opłaciła Marynarka Wojenna R.P. stały się straty na ORP "Garland", który wespół z brytyjskimi okrętami konwojował zaopatrzenie do północnych portów Związku Sowieckiego.

Polska Marynarka Handlowa, przewidując wybuch działań wojennych w 1939 roku — zdołała wyratować z obszaru Bałtyku około 90 procent swojego tonażu, a następnie połączyć się z flotą handlową Sprzymierzonych, aby pracować od tego czasu nieprzerwanie dla wspólnej sprawy. I nieprzerwanie, pomimo ponoszonych strat, brać udział w przewozie towarów i ludzi.

Sprzedaż doliny Urquartów

Zainteresowanie żywe, pełne historycznego sentymentu — wzbudziła wśród Szkotów sprawa sprzedaży doliny klany Urquart, opodal miasta Inverness, graniczącej ze słynnym jeziorem Loch Ness.

Dolina Urquartów — Glen Urquart — jako niepodzielna posiadłość istnieje lat tysiąc. Kiedyś należała do króla Macbeth, znanego nam z Szekspirowskiego dramatu.

Jest to znaczna posiadłość. 50.000 akrów pod nazwą Balmaccan and Abriachan, obejmuje niemal całość Glenu Urquart. Posiadłość wchodzi szesnaście mil w głąb Loch Ness, które jest najdłuższym ze wszystkim jezior Szkocji. Obejmuje ponadto trzy wsie: Lewiston, Drumhadrochit i Milton. 200 farm naliczyć możesz w obrębie tej posiadłości.

Po raz pierwszy od dziesięciu stuleci obszar ten zostaje podzielony, przyłączając się do stosunkowo wolno postępującego na tych wyspach procesu likwidowania wielkich majątków rolniczych.

Szkocka rodzina Urquartów, pieczętująca się żółtym gwoździkiem, a używająca tartanu zielono-fioletowego z żyłkami białymi i pąsowymi — należy do najstarszych w kraju. Gniazdem rodowym Urquartów jest północny okręg Cromarty, tak dobrze ostatnio znany niektórym z naszych oddziałów.

Początki rodu gubią się w pomroce dziejów. Historycznie wiadomo, iż William Urquart of Cromarty był szeryfem okręgu w czasach Roberta Bruce, którego koronacja na króla Szkocji odbyła się w roku 1306. Macbeth — jak również wiadomo — panował pomiędzy rokiem 1040 a 1058. Czyli trzy najdawniejsze stulecia doliny Urquartów otoczone są mgłą legendy i domysłu.

Widocznie Urquartowie umieli pielęgnować uzdolnienia pisarskie, albowiem kroniki tej rodziny notują, iż Sir Thomas Urquart of Cromarty, syn rycerza, pasowanego przez Jakuba VI, zasłynął jako jeden z najbardziej osobliwych autorów siedemnastowiecza. Przełożył dzieło wielkiego pisarza francuskiego Rabelais i napisał szereg ksiąg, między innymi rodowód Urquartów — począwszy od stworzenia świata!

Przed paru laty, ukazujący się w Szkocji "Dziennik Żołnierza", drukował powieść, będącą przekrojem stosunków polsko-szkockich w Szkocji, po przybyciu tutaj wojska polskiego. Autorem tej powieści ciekawej jako dokument obyczajowy, jest Fred Urquart. Być może, iż w żyłach współczesnego pisarza Urquarta płynie krew Sir Thomasa, tłumacza Rabelais'ego i swego rodzaju Kadłubka rodziny ze szkockiej północy.

Wybory w Edinburghu

Stolica Szkocji, Edinburgh, stoi w obliczu wyborów, tym razem samorządowych. Na ogólną liczbę 71 członków Rady Miejskiej /*Town Council*/ — 37 ustępuje, zgodnie z samorządowym ustrojem tutejszym, w listopadzie roku bieżącego.

Stronnictwa tedy przygotowują się do akcji wyborczej. *Labour Party* poważnie liczy na wprowadzenie swojej większości do Rady Miejskiej. Sekretarz organizacji *Labour Party* w Edinburghu, p. Earsman, powiedział przedstawicielom prasy, że przewiduje uzyskanie dla Partii 30 miejsc przy zbliżających się wyborach. Byłby to pierwszy w dziejach Edinburgha magistrat socjalistyczny.

Żywioły mieszczańskie tworzą w Radzie Miejskiej tak zwaną *Progressive Party*, łączącej konserwatystów z liberałami w tej dawnej twierdzy liberałów Gladstone'a.

Istnieje ponadto lokalne ugrupowanie pod nazwą *Protestant Action*, mające paru radnych miejskich.

"Trzymaj fason!"

Lwowska Fala" w czasie swojej służby żołnierskiej nieraz rozwiązywała trudne zadania, które stawały przed tym pracowitym zespołem. Cechą charakterystyczną programów "Lwowskiej Fali" jako teatru Wojska Polskiego była aktualność i satyra, wyzwalające troski w dowcipie.

Niełatwe również było zagadnienie programowe we wrześniu 1945 roku. Zarówno jednak autor — Wiktor Budzyński, jak i cały zespół wyszli i tym razem obronną ręką. Rewia "Trzymaj fason", której premiera odbyła się przed kilku dniami w jednym z obozów wojska polskiego w Szkocji, śmiało porusza najaktualniejsze i najbardziej czułe sprawy, ujmując je prosto i szczerze, choć z dużą dozą gorzkiej ironii.

Tak groteskowy prolog p.t. "Koniec wojny" /"poświęcony wojnie, która się już skończyła i pokojowi, który się jeszcze nie zaczął"/, jak i tragikomiczny skecz o "Człowieku, który spał 6 lat" — zyskały zasłużone słowa uznania na żołnierskich widowniach. Cięta i niezwykle aktualna "Konferencja atomowa" pp. Aprikosenkranca i Untenbauma dyskutuje nawet zagadnienie końca świata, "na który niewiadomo, czy się zgodzi Rosja . . ."

Pierwszą część programu zamyka numer "Veto", który odbiera prawo to "wielkim mocarstwom" przyznając je w chwili obecnej raczej . . . żołnierzowi polskiemu. Dużo wesołości i pogodnego, niefrasobliwego humoru, wnosi skecz "Wpływowy" z Tońkiem w głównej roli odbiegając od zagadnień aktualnych i politycznych.

Inscenizacje słowno-muzyczne ostatniego programu "Lwowskiej Fali" jak: "Zapomniany walc", "Mazurki Chopina", "Virtuti Militari" — wnoszą wiele nowych artystycznych wartości. Strona muzyczna zyskała urozmaicenie w postaci duetu accordeonowego.

Widownia żołnierska wita entuzjastycznie "strzelca bez cenzury" Makutrę, powracającego ze szkockich żniw, oraz zaśmiewa się do łez z jego aktualnych "kawałów".

Scena z "Mazurków Chopina"

Ciekawą nowość stanowi dłuższa rewietka parodystyczna "Stary Kabaret" — inscenizowany przegląd zapomnianych piosenek teatrzyków polskich od r. 1900 — 1920.

W finale cały zespół śpiewa:

"Co dzień jakieś wieści nowe
Co dzień plotek ruch
Każdy wszystko lepiej wie.
Wciąż te same masz rozmowy
Gdy się zejdzie dwóch
Niech sobie gada jak kto chce.

To tylko — trzymaj fason!
Głowa do góry!
Trzymaj fason!
Choć wokół chmury.
O tym myśli wróg
Jakby ciebie zmógł.
Dlatego: Trzymaj fason!
Złe miną chwile.
Szkoda czasu
Na plotek tyle!
Fason — to znaczy trwać
I wrogom dziś w piosence
Odpowiedź dać.

Wierzymy, że zespół "Lwowskiej Fali" uzupełniony w ostatnich czasach bardzo szczęśliwie kilkoma nowymi członkami — będzie "trzymał fason" w swojej pożytecznej pracy i życzymy mu powodzenia w listopadowym objeździe obozów Lotnictwa i Marynarki naszej w Anglii.

HENRYK DELAWSKI

NA POLISH CHILDREN RESCUE FUND

W załączeniu przesyłam P.O. na kwotę £1.12.0 /słownie: jeden funt i dwanaście szylingów/ na fundusz "Polish Children Rescue Fund". Kwota powyższa została ofiarowana przez oficerów O.R.P. "Garland".

M.T. ppor. mar.

* * *

Załączam British Money Order XJ92543 na sumę £15 /słownie: piętnaście funtów/, z prośbą o przesłanie powyższej kwoty na sieroty polskie. Kwotę tę zebrano w czasie wyświetlania filmu polskiego w Forres staraniem Ofic. Opieki II Baonu Piech. Lekk.

S.R. ppor.
Oficer Opieki

Na Polaków uwolnionych z Niemiec: £1,462

Dear Sir,

Will you accept the enclosed £1 note as a donation to your Polish Refugees Fund. Am sending this on behalf of Lieut. Nasielowski, who did me a very great kindness and will not accept it himself. His address is as follows: Lieut. Nasielowski Józef, Bay Hotel, Etonehaven, Kincondinshire, Scotland.

Yours faithfully,
D. M. Haskings /Mrs./

* * *

W załączeniu przesyłam Money Order Nr. OP 70772 na kwotę £4.13.1 zebraną przez szeregowych Sam. Dyonu Art. Plot. Ciężkiej drogą dobrowolnych składek z życzeniem przekazania tej sumy, do P.T. Administracji "Polski Walczącej" na pomoc byłym jeńcom w Niemczech.

D-ca Sam. Dyonu Art. Plot. C.
/—/ J.M. kpt. art.

* * *

Oficerowie Ośw. Zap. No. 1 T.D. £10.7.0 /słownie: dziesięć funtów i siedem szylingów/ na Polaków w Niemczech zamiast pożegnania oficerów, odchodzących do Rez. Pers.

* * *

1.10.0 /słownie: jeden funt i dziesięć szylingów/, nadesłane przez mjr. M. Młotka za książki Redakcja przeznacza na Polaków w Niemczech.

* * *

Łączną sumę zbiórki w dzisiejszym numerze £17.10.1 /słownie: szesnaście funtów, dziesięć szylingów i jeden pens/ przekazaliśmy Polskiemu Czerwonemu Krzyżowi.

Suma powyższa podnosi ogólną sumę zebraną dotychczas na ten cel za pośrednictwem "Polski Walczącej" do £1,462.1.5½ /słownie: tysiąc czterysta sześćdziesiąt dwa funty, jeden szyling i pięć i pół pensa/.

POSZUKIWANIA

Pułkownik Józef KOKOSZKA, lat 52, urodzony we wsi Swilcza, pow. Rzeszów, ostatnio przebywał w obozie Dachau w Niemczech. Jest poszukiwany przez siostrę Katarzynę KOKOSZKA, 5461 Florida, Detroit 10, Mich., U.S.A.

GAJEK WERONIKĘ, zamieszkałą w Warszawie, ul. Piekarska 9,m,23, wywiezioną do Niemiec w czasie powstania warszawskiego, poszukuje mąż GAJEK Józef, 9, Willow Gardens, Ruislip, Middlx., England.

Inż. Stefan BLANKENSTEIN, więzień obozu w Oświęcimiu, poszukiwany przez panią Wandę ŁADNIEWSKĄ, Warszawa, Ministerstwo Oświaty, Aleja Szucha 25/11.

Poradnik żołnierski

"Żeglarz".

Przeniesienia do Marynarki Wojennej i Lotnictwa zostały wstrzymane — składanie więc podania w tej sprawie jest bezprzedmiotowe.

Pani Aniela K.

Obecnie urzędy pocztowe przyjmują listy polecone, adresowane do Polski. Opłata wynosi 2½d. + 3d., a więc tak samo jak na terenie W. Brytanii. Można również wysyłać listy lotnicze, kartki pocztowe, druki, papiery handlowe oraz paczki nie przekraczające 4 lb. wagi brutto.

Aby wysłać paczkę /ilość dowolna/ winna Pani uzyskać zezwolenie z *Board of Trade Export Licencing Dept.* /adres: 4, Fenchurch Avenue, London, E.C.2/ na specjalnym formularzu z dołączonym spisem rzeczy, które ma się zamiar wysłać. Otrzymane zezwolenie nakleja się na paczce. Paczki mogą zawierać wszystko za wyjątkiem mydła i żywności.

B. i D.

Po umundurowaniu, nowowcieleni do P.S.Z. mają prawo dysponowania ubraniem cywilnym według swego uznania i z prawa tego powinni korzystać. Niekorzystanie z tego prawa stanowi ryzyko dla uprawnionego. Wobec tego nie może Pan mieć pretensyj do Oddziałów, lub do Państwa z tytułu ewentualnego zdeponowania rzeczy prywatnych w magazynie wojskowym.

Niezależnie od tego nie wiadomo mi, by jakiś Oddział przywiózł w czasie ewakuacji z Francji do W. Brytanii w 1940 r. magazyn z rzeczami prywatnymi żołnierzy.

Nie widzę więc możliwości ubiegania się o zwrot zdeponowanych przez Pana rzeczy w magazynie oddziałowym we Francji w 1939 r., lub 1940 r.

P.J.

Niestety, ale nic nie można zrobić, aby przyśpieszyć Pana zwolnienie z Polskich Sił Zbrojnych. Demobilizacja ochotników z Ameryki Płn. i Połud. oraz innych krajów zależy wyłącznie od decyzji władz brytyjskich, które dysponują potrzebnymi na ten cel środkami materialnymi i transportowymi. Władze Polskie robią wszystko, co jest w ich mocy, by przyśpieszyć decyzję w sprawie demobilizacji ochotników. Składanie przez Pana podania nie wpłynie na bieg rzeczy.

Kan. "Tyb".

Dla ułatwienia żołnierzom, którzy po demobilizacji mają zamiar osiedlić się zagranicą — uzyskania pracy, organizowania spółdzielni i spółek, jest w stadium organizacji specjalna organizacja "Samopomocy Polskich Żołnierzy Zagranicą".

"Kanadyjczyk".

Ponieważ zdecydował się Pan przenieść z armii polskiej do wojska kanadyjskiego, nie może Pan rościć sobie żadnych pretensyj z tytułu innych należności, oprócz żołdu do dnia opuszczenia Polskich Sił Zbrojnych.

Jak wynika jednak z Pana listu, otrzymał Pan wszystkie należności, przysługujące każdemu żołnierzowi z tytułu żołdu i dodatku na oporządzenie do dnia 30.VI.45 r. t.j. do chwili zwolnienia z Polskich Sił Zbrojnych.

"Należności z tytułu dodatku wojennego za wysługę lat" wydaje mi się, że źle Pan sobie obliczył. Wymieniony dodatek nie przysługuje Panu, ponieważ w Polskich Siłach Zbrojnych był Pan tylko od 15.III.43 r. do 30.VI.45 r. W dniu 3.IX.44 r. nie miał Pan za sobą 3 lat służby, co jest zasadniczym warunkiem

"Bombardier".

Awansowanie do wyższego stopnia nie jest uzależnione od odznaczenia. W sprawie awansu radzę napisać do swojego byłego dowódcy bezpośrednio, gdyż tylko on może Panu udzielić właściwej odpowiedzi.

Sł. Czer.

Rzeczy Pana, o ile są "używane", mogą Panu wysłać znajomi z Francji bez żadnych trudności. Z uwagi na istniejące ograniczenia dewizowe, nie ma możności przekazania Panu pieniędzy z Francji. W sprawie ewentualnej wymiany franków na inną walutę, radzę, by Pana znajomi zasięgnęli informacji w którymś z banków francuskich we Francji.

Z. Gas.

Nie mogę Panu nic pomóc. Przeniesienia do W. Brytanii zależą od władz alianckich i są załatwiane tylko w drodze służbowej. Radzę, by syn zgłosił swoją prośbę u swego dowódcy, który go powiadomi o ewentualnych możliwościach. Sprawa połączenia rodzin wojskowych jest obecnie przedmiotem rozmów pomiędzy władzami polskimi i brytyjskimi /*War Office*/.

Mjr. L. D. Krz.

O ile Panu Majorowi zależy na rzeczach pozostawionych we Francji, radzę postarać się o urlop na kontynent i rzeczy te przywieźć sobie samemu, lub prosić o przysługę kolegę. Ponieważ rzeczy, o których Pan Major pisze stanowią tylko osobiste wyposażenie i zapewne są używane, nie będą powodem żadnych trudności celnych.

Kan. Kwiat.

Sprawa wyjazdu do Ameryki dla osiedlenia się tam, będzie dopiero aktualna po demobilizacji. Do Francji nie ma Pan żadnego obowiązku wracać. Przypuszczam, że wyjazd do Ameryki Północnej będzie możliwy, zwłaszcza, że ma Pan zapewnione utrzymanie. Dotychczas nie ma żadnych w tej sprawie zarządzeń.

WERINAJSEK

...ŚMIEJMY SIĘ — BO KTO WIE CZY POKÓJ POTRWA TRZY TYSIĄCE LAT...

WYNALAZKI WOJENNE W CZASIE POKOJU

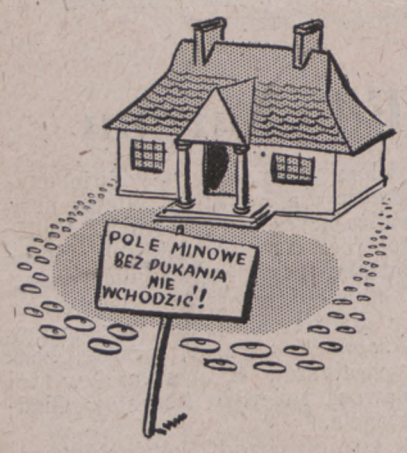

Zamiast płotu — pole minowe...

NAJNOWSZY FACH

—Z podziwem jestem dla was — mówi Anglik do Polaka — co drugi Polak w Londynie naprawia już zegarki. Gdzie nauczyli się tego zawodu?

—W Londynie! Każdy przez pięć lat krecił się w kółko — więc ma i zawód...

WYJAŚNIENIE

Szkotka do Polaka:

—Nie gniewaj się, jeżeli Szkoci cię pytają, kiedy wracasz do Kraju: oni to robią z przyzwyczajenia...

—Jakiego???

—Chcą szybko pojechać na weekend do Polski...

FLIRT I FILTR

W poprzednim numerze zakradł się diablik drukarski, który "poflirtował" z czcionkami. Podpis ma brzmieć:

—Co wy tu wyprawiacie?

—Melduję posłusznie panie szefie, że moje buty filtrują na deszcz... a nie flirtują...

"FACHOWIEC"...

W czasie kopania ziemniaków "gdzieś w Szkocji", szef kompanii zwraca się do żołnierzy:

—Bierzcie sobie przykład z kaprala Kwiczoła, jak on szybko kopie!...

—Jemu to łatwo — odzywa się głos.

—Dlaczego?

—Bo Kwioczoł jest z zawodu grabarzem...

NAJPRAKTYCZNIEJSZE ROZWIĄZANIE KOMINKÓW SZKOCKICH PRZEZ POLAKÓW

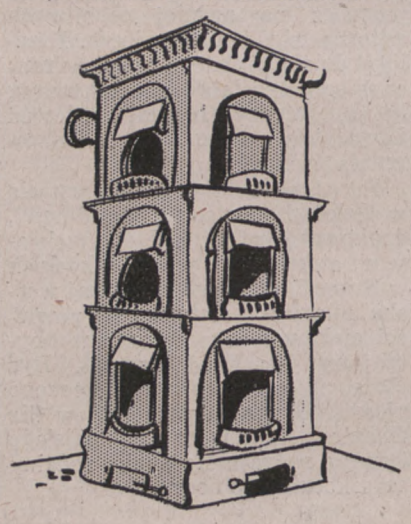

Polsko — szkocki piec

AUTENTYCZNE

Urywki z zapisków oficera inspekcyjnego

..."W dniu dzisiejszym o godz. 9 rano odbyła się msza święta. Jeszcze o godzinie 11,30 ściągały oddziały na nabożeństwo"...

* * *

..."W dniu dzisiejszym nastąpiła bezwarunkowa kapitulacja Japonii. Poza tym na terenie obozu, w czasie służby, nic ważnego nie zaszło"...

NIEDYSKRECJE

...Mówią, że od czasu objęcia I Korpusu i Jednostek W.W.B. przez gen. Maczka, w biurach wojskowych. zwiększyła się praca. Wszyscy piszą tylko — maczkiem...

* * *

Na terenie I Dywizji w Niemczech powstała polska osada Maczkowo. W związku z tym miejscowość Falkirk w Szkocji ma być nazwana — Maczkowo-miasto.

* * *

...mówią, że w związku z naszą reorganizacją armii, plutony *"Opieki nad Żołnierzem"*, mają być przezwane "Ubezpieczalnie nad Żołnierzem".

NA KOPANIU ZIEMNIAKÓW W SZKOCJI

Szef: — Dlaczego wy nie kopiecie ziemniaków?

—Melduję, com jest przesądny!

—Jakto przesądny?

—Bo przysłowie mówi: kto pod kim dołki kopie, sam w nie wpada...

NAUKA NIE IDZIE W LAS...

—Kiedy pani sobie zrobiła wieczną ondulację?

—Wczoraj — na deszczu szkockim...

NA WYSTAWIE W EDINBURGH'U

—Feluś, muszę upewnić się, czy istotnie ten obraz kosztuje £50!

—Po co?

—Jeżeli tak, to od jutra zaczynam malować..

Tekst i rysunki: TONY

Author of "The Friends of the People" (4th Imp.)

ALFRED NEUMANN

SIX OF THEM

Saturday Review of Literature: "A craftsman of great experience and skill, Alfred Neumann masterfully combines economy in the use of his artistic means with richness of imagination and narrative power."

Just published. 10/6

HUTCHINSON INTERNATIONAL AUTHORS Ltd.

Stories of 19th Century Russian Naval Life

MAN OVERBOARD!

KONSTANTIN STANYUKOVITCH

Konstantin Stanyukovitch, whose work appears in English for the first time, was born in 1844 and died in 1903. An officer in the Tsarist Navy for many years, he wrote from first-hand experience of life on board a Russian man-of-war. 8/6

HUTCHINSON INTERNATIONAL AUTHORS Ltd.

NIE TRAĆ DŁUGICH WIECZORÓW ZIMOWYCH I ZUŻYJ JE NA NAUKĘ ANGIELSKIEGO.

MÓJ SEKRETARZ

zawiera 2700 rozmów, wzory listów, telegramów i powinszowań.

CENA 6/6

Dotychczas sprzedano 10.000 egzemplarzy tego najlepszego podręcznika do prowadzenia rozmów po angielsku.

Pozostaje egzemplarze TRZECIEGO wydania są do nabycia we wszystkich polskich księgarniach oraz za nadesłaniem Postal Order na 6/9 wprost u wydawców:

CALDRA HOUSE /PUBLISHERS/ LTD., DUNS, BERWICKSHIRE.

NAJWIEKSZY WYNALAZEK OD CZASU ALFABETU

Żądaj wykresu!

PEWNOŚĆ UŻYCIA WŁAŚCIWEGO SŁOWA

To wspaniałe "zestawienie zwrotów i słów" jest bezcennej wartości dla wszystkich posługujących się angielskim językiem. Proste i łatwe w użyciu, ułatwia znalezienia właściwego wyrazu. Słowa i zwroty masz gotowe pod ręką. Gilbert Frankau pisze: "...najlepszy pomocnik, jakiego kiedykolwiek odkryłem — nie opuści już nigdy mego biurka." Nadeślij znaczek pocztowy 1d. za egzemplarz.

PSYCHOLOGY PUBLISHING Co., Ltd. (Dept. PW/HV5). Psychology House, Marple, Cheshire.

SPIS RZECZY:

Zbigniew Grabowski: Porozumienie czy zagłada? — *Triarius:* Jaskinia Cyklopa. — *Aleksander Boray:* Przegląd tygodniowy. — *M. J. Gordon:* Nowości lotnicze. — *Bohdan Kwiatkowski /"Lewar"/:* Z "Południa" na "Północ" Warszawy. — *Eugeniusz Romiszewski:* Reportaż z podróży do Danii /III/. Dzieje się dobrze w państwie duńskim. — *Leopold Milanowski:* Na Atlantyku. — *Ryszard Kiersnowski:* Hanka, Kasia, Krystyna /Korespondencja własna/. — Osiedle "Spadochronowo". — "Towarzysz Broni". — Zbiórki. — Poradnik żołnierski. — *Tony:* Werinajsek. — Fotografie.

WYDAJE SŁUŻBA OPIEKI NAD ŻOŁNIERZEM

Adres Redakcji (Editorial Offices): 5, Portugal St., W.C.2. Tel., HOLborn 7600. 1-e piętro.
Redaktor przyjmuje w poniedziałki i wtorki od godziny 11-ej — 13-ej.
Redakcja nie zwraca rękopisów niezakwalifikowanych do druku.

Warunki prenumeraty: Miesięcznie z przesyłką pocztową w Wilekiej Brytanii i zagranicą 1 sh. 6 d., kwartalnie 4 sh. 6d. Należność prosimy wpłacać z góry przekazem pocztowym lub czekiem na "POLSKA WALCZĄCA" pod adresem Administracji.

Ceny ogłoszeń: 1 cal przez jeden łam — sh.20. Zarezerwowane miejsce 50% drożej. Ogłoszenia o poszukiwaniu pracy — 2sh. za wiersz.

Adres Administracji (Business Offices): 33, Bolton Gardens, Earl's Court, London, S.W.5.

Printed for "Polska Walcząca" by St. Clements Press, Ltd., Portugal St., Kingsway, W.C.2. Registered at the G.P.O. as a newspaper.

HAVE YOU ANY SKIN TROUBLE?

ST. JAMES' BALM
ANTIVIRUS OINTMENT

DESTROYS GERMS
AND PREVENTS THEIR DEVELOPMENT
Send for FREE SAMPLE
MEDICO-BIOLOGICAL LABORATORIES Ltd
CARGREEN ROAD, LONDON, S.E. 25